

Złocisty kontusz lata.

Część I.



Ryszard Sawicki, Ryszard Sawicki, Bucharra, rys., pastel na tle malowanym gwaszem.

Wędrowka polskiego pisarza po pełnym przepychu i niezwykłej

historii świecie muzułmańskiego wschodu.

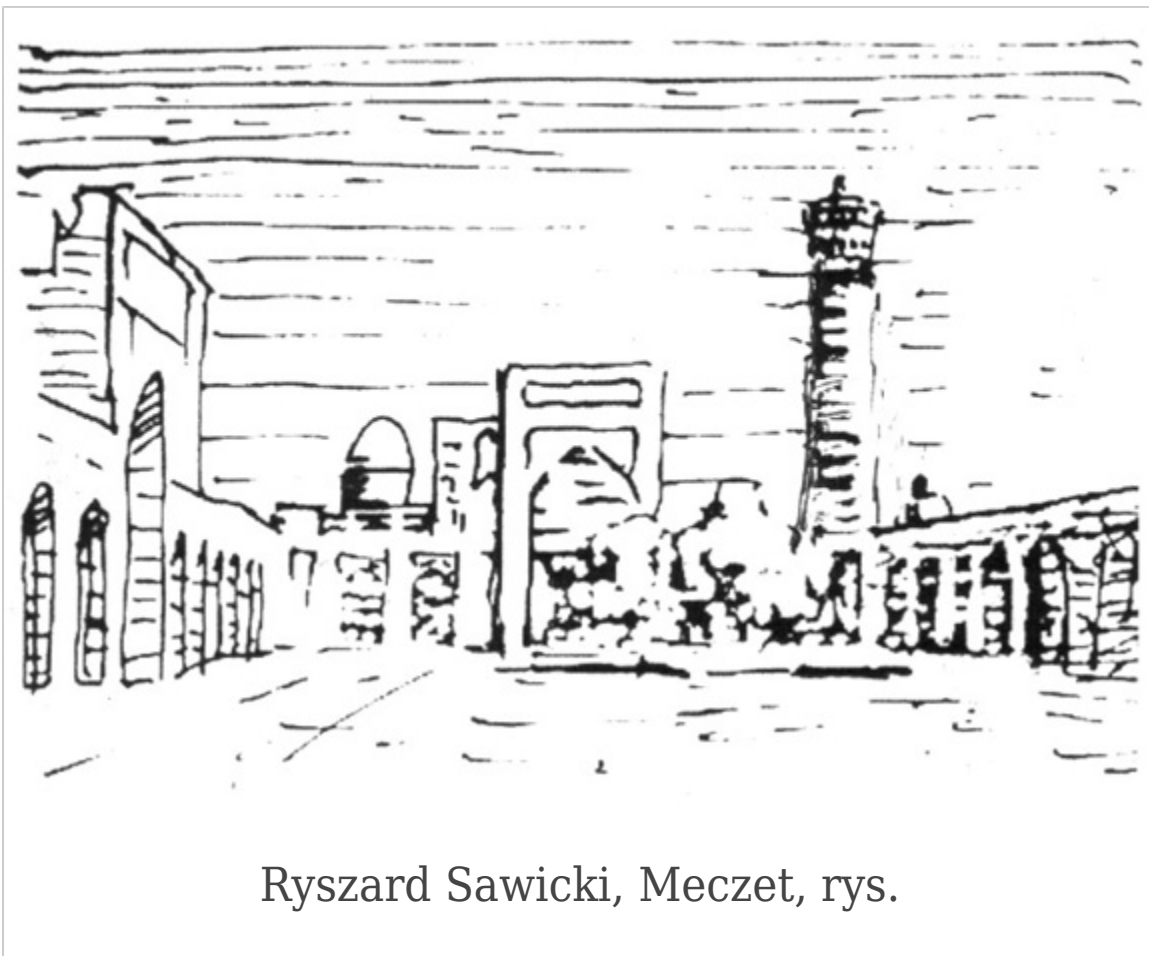
Ryszard Sawicki

Im wyżej tym dalej. Im wyżej wznosi się sokół tym dalej mu od błotnistego horyzontu ziemi. I widzi szerszy horyzont. Ziemia sinieje w porannej mgle, ale słońce już wyławia złociste błyski traw wszędzie tam gdzie wznosi się niewielki wzgórek. Sokół nie widzi zająca ukrytego pod siną papachą mgły. Zając słyszy głuchy tętent końskich kopyt, zrywa się, biegnie w step. W siną dal. Tatarski to koń? Ku Dniestrowi goni? Czy dalej? To zobaczyć może tylko sokół. Nie po to jednak wzbił się wysoko, poszerzył horyzont. Nie po to oderwał się od matki-ziemi. Nie po to szybuje na skrzydłach ojca-wiatru. Daleko, dalej niż sięga wzrok jeźdźca, który stanął w strzemionach by rozejrzeć się po stepie. Tuż nad stepowym sinym horyzontem właśnie wschodzi słońce. I w tamtą stronę, wciąż poszerzając horyzont ziemski, zatacza swoje kręgi sokół. Szybując wysoko, coraz wyżej, na południowym wietrze, na wietrze od Czarnego Morza. Gdyby wzbił się jeszcze wyżej i oderwał wzrok od ciemnych kęp trawy, zobaczyłby może pierwsze błyski promieni słonecznych na złocistej kopule cerkwi, także błysk podwójnego nad nią krzyża. Wyżej i dalej. Wyżej i szerzej. Wiatr jest łagodny, ale silny. Wieje rozlanym szeroko morzem. Płaskim, szerokim, sięgającym po krańce stepu. Wiatr-ojciec. Rozwiewa mgłę z powierzchni ziemi.

Czyni ją matowo-złocistą, jak matowe bywa złoto, nie dotknięte jeszcze gładkim kamieniem, który trzyma w ręce malarz-artysta. Malarz ksiąg i świętych obrazów. Malarz pozłocistych ikon, jakich wiele skrzy się już w pierwszych promieniach słońca wpadających w ciemne wnętrza cerkiewne. To z jego ikony wyłonił się jeździec. I odleciał w step. Za nim ciemnieje horyzont Zachodu. Od ciemnego, zachodniego fragmentu horyzontu jeździec oderwał się wcześniej rano. Stamtąd pędzi, ku jaśniejącemu słońcu. Ma za sobą niejasne granice, przed sobą żadnych granic. Jary rzeczne przetnie i pobiegnie dalej, może aż tam, gdzie krzyżują się szlaki kupieckich karawan, ciągnących z północy i południa na Daleki Wschód. Może dogoni i tę karawanę, która zdąża z Zachodu. W końcu wszyscy oni będą podążać z Zachodu na Wschód, aż po mury wielkich miast, Chiwy, Buchary i Samarkandy. A może i jeszcze dalej, aż za Chiński Mur.

Dzień taki nastał: ziemię wiatr owiewa, mgłę znad niej usuwa, a horyzont się szerzy, aż po Wielki Mur. Święty Michał, skrzydlaty, z sokołem się mierzy i nad stepem płynie w lśniącej złotem zbroi. Wyrwał się z obrazu, ze świętej ikony. Zbudził się, wychynął spod cerkiewnych sklepień by ogarnąć wzrokiem świat. Ten świat bez murów, bez miast, wolny, szeroki świat. Jak wielobarwny kobierzec wypełniony symbolami dobroczynnych drzew, owoców i kwiatów. Jak utkany z tajemnych znaków dywan, pełen cichej mowy przenikającej duszę. Dywan wspomnień.

Szukam bucharskiego dywanu, choćby jednego podobnego do tych, które wisiały i leżały dziesiątkami w mieszkaniu wujostwa Krzysztofowiczów we Lwowie. Wśród nich bawił się mój ojciec jako dziecko, ale tylko kilka z nich rodzina zdołała wywieźć z utraconego miasta, przewieźć ze wschodniej do zachodniej Polski. Dziś jest świat jak wczoraj, lecz przecież mniej siny niż był, kiedy mgły więcej z błot się unosiło, niż wtedy, gdy zimne, północne wiatry gnały strugi deszczu, by opłukać step. Dziś można wysoko wzbijać się ku niebu. Wysoko unieść sztandar błękitny nad ziemią, bo się da rozwinąć z Zachodu na Wschód. Więc wysoko nad ziemię wzbija się i sokół i jeździec niebieski dzierzący oburącz drzewce sztandaru. Sprzyja im wiatr. Dzień będzie pogodny. Zobaczą ten sztandar w pełni rozwinięty wspaniałym błękitem ludzie z karawan, ze stepów i z miast. Ten sam, piękny sztandar Świętego Michała, Rycerza, którego zbudził sokół na wielką wyprawę. Niebo im sprzyja. Sprzyja i mnie. Bo widzę nad sobą błękit. Widzę słońce. To samo, które wcześniej weszło nad Murem Chińskim, a potem przeszło nad całym Wielkim Stepem, od Samarkandy, Buchary i Chiwy, aż po rzekę Bug i po rzekę Wisłę. To samo słońce widzę, to samo, które widzieli nieco wcześniej ludzie za wszystkimi rzekami we wszystkich jarach Podola. Ten sam widzę dzień, choć trochę później niż oni. I szukam na niebie śladu podobnych dni. I znajduję te ślady bez trudu. Nawet w błotnistej ziemi, nawet nie wykopując z błota żadnych promieni, zagubionych, jak się gubi złotą monetę pędząc na koniu przez step.



Ryszard Sawicki, Meczet, rys.

Święty Michał mnie zbudził, bym i ja zobaczył świat. Bym poznał i zapamiętał. Bym cieszył się wspomnieniem, własnym i nabytym. Nie tym zagrabionym, lecz przyswojonym. Nie po jasyr mnie posłał, nie po złoto. Lecz po znajomość rzeczy i ludzi. Święty rycerz wyrwał mnie z nieruchomych ulic i posłał na drogi, co same biegną przed siebie i do biegu zachęcają. Z nieruchomej nocy, w zmienny, ruchliwy dzień. Dzień to jest szczególny, bo można zobaczyć wszystkie poranki, które wstawały wcześniej. Można zobaczyć wszystkie zmierzchy, które zapadały później. Można zobaczyć głęboki portal Nieba i wpatrzeć się w szeroki horyzont ziemski, stąd aż tam. Nie ma granic ten świat, jak nie ma ram obraz świata malowany i tkany dziś przez anielskiego

mistrza. Wynurza się zza muru cesarskiego, królewskiego, książęcego zamku. I zza murów chorezmijskich miast. Zaczarowany świat, namalowany i utkany przez dłonie znające słowa-zaklęcia. Zaklęcia-obrazy. Od „Podnóża Wielkiego”, od Poi Kaljan. Od starego środka miasta zwanego „szachristan”.

Od bramy Szejk Dżalal. Od kopuł nad kramami Toki Saffaron, gdzie wymieniano pieniądze z Iranu, Chin oraz Indii. Od kanału Szachrud, skąd woda biegnie marmurowymi korytami do miejskich łaźni przy zajazdach. Od starej Buchary. I myślę sobie: koń dwunastu nóg mieć nie musi, by dogonić kulę słońca toczącą się nad ziemią. Wystarczy stanąć w strzemionach, by zatrzymało się słońce. Bym je dogonił na ten dzień. Bym dogonił inne dni, dni kniaziów Rusi, Czerkawskiego i Pożarskiego, a nawet i kniazia Lwowa. Bym zobaczył ich portrety wysunięte zza horyzontu. Przesłania mi obrazy trawa stepu, ale ostnica chwyta złotą tarczę i zawiesza wyżej na swoich twardych igłach. Skłębia się wiecheć trawy i trwa. Na wieki rośnie. Przerasta ławy szabel wzniesione nad głowami, pokornie się chowają w starodrzewiu powidoków. Portrety ludzi w czerwonych opończach zielenią się tłem. Ciemnym, dębowym listowiem, buławami lackich i kozackich dziejów wrośniętymi głęboko w ziemię. Łamie się trawa pod stopami ludzi, pod kopytami koni. Pędzą w kurzawie przed siebie, by dopędzić horyzont uciekający wciąż przed nimi. Stoję w strzemionach wspomnień. Patrzę z wysoka. Widzę zarys kurhanu. Do niego wyciągają się ręce poniechanego pułku. Od

niego biegną dzikie tarpany, znikają na mokradłach. Tam gdzie rosną kwiaty, słodkie miodunki, ale i trzciny, tataraki. Na obrzeżu fioletowe główki bodiaków. Cierniaki. Amaranty toczą się, gdzie step suchy i równy. Dalej, dalej. Na chwałę błękitnego dnia - złoto stepu. Kolchida wspomnień. Baśnie z wielu nieprzespanych nocy, przemarzonych dni. Baśnie, jak ta o latającym dywanie.

Coraz bliżej: ugrove mury starej Buchary. Otwierają się bramy, wszystkie jedenaście bram. Podnóże Wielkiego Meczetu, Poi Kaljan. Czy tu odnajdę nieruchomy dom? W medresie Kukel'dasz znajduję wolną celę. Moja hudzra już czeka. Widzę za oknem płaskie ozdoby kopuł nad pasażem. Arkady biegną wzdłuż całego piętra bocznych fasad. Moja hudzra jest na pierwszym piętrze w rogu obszernego dziedzińca. Małe okno wychodzi na zewnętrzny plac, a otwór drzwiowy pozwala widzieć łuki przeciwległych arkad. Wielki liwan medresy, wielkie przejście w inny świat. W inny czas, mierzony inną miarą. Z tą miarą lepiej mi, gdy przez okno hudzry sączy się inny wiek. Z tą miarą domu, który powoli, a jednak szybko, staje się moim domem. W miarę jak patrzę, jak poznaję. Za oknami medresy, w której się znalazłem, są starsze budowle niż ona.



Buchara

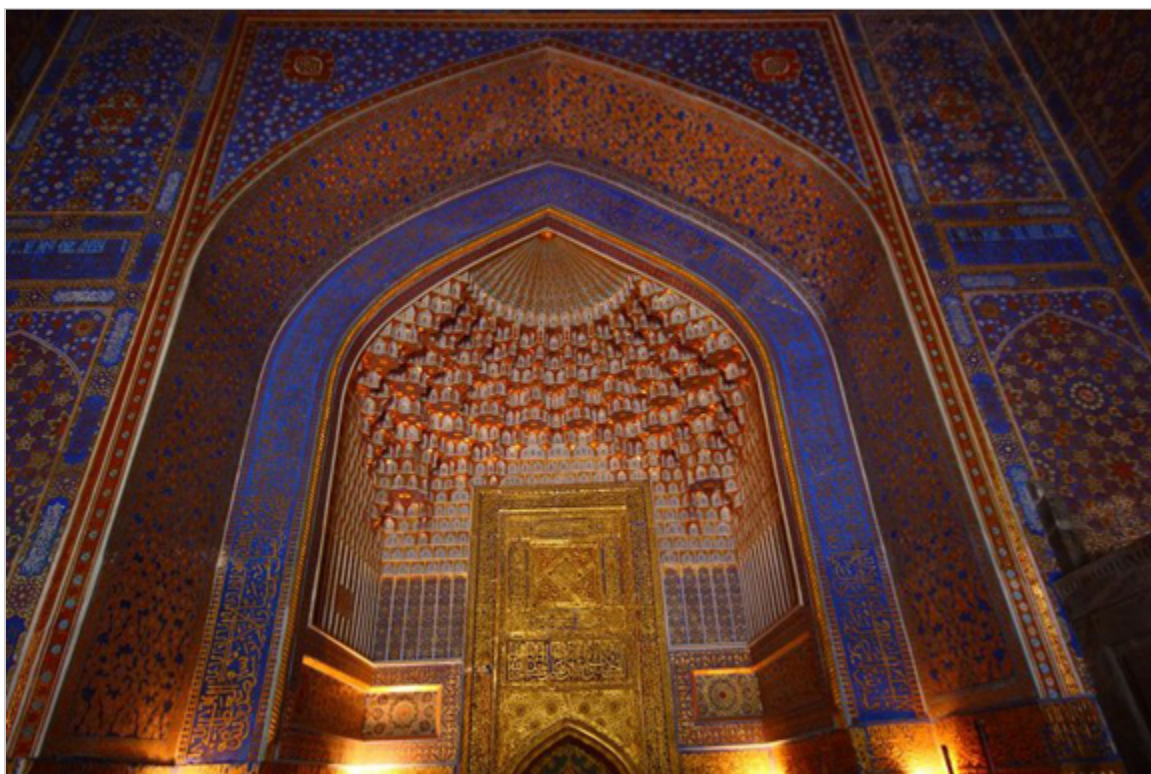
Czas biegnie szybko tego dnia, niektóre zdarzenia następują niemal jednocześnie. Robotnicy właśnie wznieśli zespół Ljabin-hauz, drugiej medresy i zbiornika wodnego zwanego hauzem. Wszystkie te budowle nosić mają imię Nadira Divan-begi, wezyra imama Kulichana. Kamienne stopnie basenu schodzą w czystą, zielono-błękitną wodę, którą doprowadzają arki, irygacyjne kanały. W wodzie odbijają się kamienne głowy smoków i lwów umieszczone na końcu rynien. Nie wiem kiedy zmieniono przeznaczenie tego zespołu budowli. Według pierwotnego przeznaczenia, budynek chanaki Divan-begi miał służyć jako karawan-saraj, dopiero potem urządzono tu szkołę, dlatego brak w nim audytorium i meczetu. Co więcej, wejście prowadzi prosto na dziedziniec, nie rozdwaja się, jakby wąski korytarz w głębi budynku wiązał się ze stajniami dla koni i wielbłądów. Kiedy

karawan-saraj stał się szkołą? Umknęła mi granica czasu, nie usłyszałem dzwonu wydzwaniającego na tę okazję. Oczywiście nie mogłem usłyszeć; tu, w tym świecie nie ma przecież dzwonów. Zauważyłem tylko inny tłum wchodzący przez tę samą bramę. Nie kupcy, nie zdrożeni podróżni, lecz uczniowie. Tłum młodych ludzi, wśród nich ten i ów człowiek przygarbiony, z siwą brodą, to ich nauczyciele. Taki sam tłum, jak w medresie Abdulazis-chana zbudowanej wiek później. Tę nowszą szkołę bogato zdobią mozaiki, majolika i relief. Pod sklepieniem ajwanu umieszczono wspaniałe stalaktyty. W salach meczetu pojawił się nowy typ stalaktytów z gwiazdzistymi medalionami i łagodnie wygiętymi liniami łuków, które przypominają półotwarte wachlarze. Takie, jakimi bawią się damy w Chinach i w Hiszpanii. Każda huda w tej medresie została zaprojektowana tak, by zapewnić uczniom wszelkie wygody, na których brak mogli się skarżyć uczniowie szkoły Kukel'dasz i innych, wcześniej wzniesionych szkół. Przy wejściu znajduje się przedpokój z miejscem na ognisko i węgiel, jest tu też kominek. W każdej celi jest okno wychodzące na ulicę. Misternej roboty półki stalaktytowe schodzą w dół ścian. Freski stanowią wspaniałą ozdobę tych pomieszczeń oddzielonych od korytarzy lekkimi drzwiami o zakratowanych skrzydłach (kraty oklejono papierem). Medaliony fresków wypełniają malowidła skopiowane z książkowych winiet i opraw, z których wyrobu słynęła Buchar. A gdzie dywany?

Nie chcę przemieszczać się w czasie zbyt szybko. Niech ten dzień trwa. Niech trwa ta chwila, w której pomieścić można jeden i drugi wiek. Niech będę wśród starych murów Buchary, gdzie przeniosłem się kiedyś naprawdę, teraz ponownie, dzięki temu, że odkryłem swoje zapiski sprzed lat. I dzięki temu, że wczoraj wieczorem przyśpiewywali mi swoje kozacko-ormiańsko-sarmackie pieśni poeci, którzy dawno zmarli, ale żyją, bo dalej śpiewają, bo dalej słyszę ich śpiew. Nim zanikną szlaki karawan, niech moje nieruchome miasto cieszy się zbytkiem, niech mnoży swoje glazury, majoliki i mozaiki. Nim siwe czaple przywdzieją resztki skórzanych kołpaków, odkopanych z kurhanu przez wiatr. A z odległych oczeretów podniesie się inna mgła. Paruje ciepła woda w chłodny wieczór nad zbiornikiem w pobliżu meczetu Bolo-hauz. Wysoki ajwan zasłania fasadę, oparty jest na wąskich, wydłużonych kolumnach, a obok niewielki minaret. Niedaleko inny meczet z zespołem budowli i sardobą, krytym zbiornikiem wodnym. Zwą go meczetem kalifa Chudajdon. Nie ma wielu ozdób, ale te, które mu dodano odznaczają się wyszukany artyzmem. Buchara staje się powoli muzeum swej własnej przeszłości. Artyści powielają artystów. Poeta nuci swoją melodię:

przez szczelinę wieczoru, wejdźmy do starego kraju, do którego wyłamane są bramy porośłe mchem.

W powietrzu tańczy złocisty kontusz wiatru. Aż tu zawiewa: trochę pyłu, źdźbło trawy, jeszcze zielonej, nieuschniętej, wyrwanej po drodze. Zaszleściły strony księgi, półotwartej, na półce misternie rzeźbionej w formy stalaktytu. I znów cicho. Szczególnie pod murami dziewiętnastowiecznego arku cytadeli, pod łukiem bramy, od której wiedzie mroczny korytarz. W korytarzu rozmieszczono nisze dla straży i cele dla więźniów emira. Śpią strażę? Nie ma emir wrogów? Cisza. Naprzeciw wejścia obszerny dziedziniec, pod baldachimem podtrzymywanym przez cztery kolumny z nuretyńskiego marmuru, stoi tron emira. Pusty.



Buchara

Labirynt wąskich ulic miasta, który tworzą domy mieszkalne pozbawiony jest wszelkich oznak życia. Toczy się ono za ozdobnymi drewnianymi drzwiami. Fasady bez okien podobne są do twarzy kobiet zasłoniętych parandżami. Kryją bogate wnętrza. Jak i w innych miastach muzułmańskiego wschodu, tak i w domach Buchary istnieje podział na dwie zasadnicze części: zewnętrznego i wewnętrznego dziedzińca. Wokół dziedzińca wewnętrznego izby mieszkalne. Pokój gościnny (mihmanhana) znajduje się przy podwórzu zewnętrznym, a jeśli tu nie ma miejsca, to przeznaczają się dla gości pomieszczenia na drugim piętrze nad wejściem. Pomieszczenia gospodarcze są przy obu podwórcach. Pokoje oddzielane od podwórza krytymi tarasami-ajwanami z dachem na drewnianych kolumnach. Wysokie, letnie pokoje w częściach północnych budynku różnią się wyraźnie od niskich, zimowych pokoi, których fasady skierowano na południe lub zachód. Nad przedpokojami mihmanhon zbudowano jedną lub dwie antresole mihnizhin. Dziedziniec części mieszkalnej otaczają nie tylko ajwany, lecz i odkryte tarasy. Przy płaskich dachach znajdują się wąskie poddasza ajwanczi służące do spania. Pokoje zdobione stiukiem, wielobarwnymi malowidłami na ścianach i na suficie, a drzwi i okiennice pokryte rzeźbionymi ornamentami. Na podłogach dywany. Znalazłem! Misternie tkane obrazy, które ukazują geometrię zawiłych myśli, zawiłych losów. Labirynty harmonii. Bezgłośnych dźwięków, szeptanych bez ust.

Jak od Nieba trzeba chleba (chlebem jest i Bóg), tak i znaku, z Nieba znaku, trzeba nam tu już, dla nas, cichych dusz. Nabożeństwa nam potrzeba póki świata, póki lotu, by nas wspomniał lud. Nie zapomnij, podróżniku, na wiek wieków zapamiętaj, gdzie są pola, dzikie pola, za bramami miast.

A wieki pędzą za oknami jak stado dzikich osłów. I oto, niespodziewanie, otwiera się brama do północnych dziedzińców, do syberyjskich otchłani. Spod niej lepiej zawrócić. Udajmy się ku początkowi. Inaczej nasi gospodarze odmówią nam gościny. Uczmy się więc od początku. By poznać skąd pochodzi człowiek, skąd pochodzi rzecz. Choćby rzecz tak drobna, jak stary dywan zawieszony na ścianie. Uczę się, bo przecież po to posłano mnie do szkoły. Po to jestem w medresie Kukel'dasz i mam zaglądnąć do innych szkół Buchary. Mam nauczyć się odmierzać czas w setkach i tysiącach lat, nie w minutach i godzinach. Powinienem uświadomić sobie, że upływ czasu raz jest taki, raz inny. Trzeba mi uczynić miarę z własnej dłoni i garści piachu. Lub kropel wody. Muszę wiedzieć, że między wieloma rzeczami oraz istotami nie ma stałych związków, tak więc rzecz lub istota może stać się inną niż jest. Na chwilę, dłuższą lub krótszą. A chwila to nie dziesięć minut ani pół godziny, bo chwila nie ma wyraźnych granic, może obejmować dzień, rok, albo nieskończoną liczbę dni i lat. To nic, że mam na swoją naukę ten tylko dzień, bo to nie jest zwykły dzień składający się ze zwykłych godzin. Jest on

raczej chwilą niż dniem. Moją chwilą na moją naukę.

Czas mój to czas indywidualny i uniwersalny. Mój rozum jest zrazem czynny i bierny, jest częścią mojej duszy i częścią innych dusz we wszechświecie. Święty Michał dał mi ten dzień, skłonił ku myślom o Bucharze, w której byłem dawno temu, a oto jestem znowu. Mój czas i moja przestrzeń, to czas i przestrzeń pomieszczone w kuli, po której się ścieli dzień i noc, jednocześnie. Święty Michał dał mi garść piachu, bym się nauczył kulistości ziemi, bym ją umiał pomieścić w dłoni. Zaś Abu Ali ibn Sina dał mi kroplę deszczu z bucharskiej chmury, bym ją zmieszał z piaskiem. Piasek miesza się z wodą, by nie płynął przez palce zbyt szybko, a także po to, by jedna jego garść przypominała całą ziemię, na której są zarówno pustynie jak i morza. Z jednej garści ziemi i jednej kropli deszczu wywodzi się cała ziemia, tak jak z obrazu jednej fali wywodzą się nieskończenie długie szeregi fal. Ale nie śpieszmy się z opowiadaniem. Dbajmy o to, by wieści o zdarzeniach nie rozchodziły się zbyt szybko. Uczyć się trzeba miarowo, nie od razu wszystkiego. Najpierw myślistwa i łowienia ryb, używania łuku i strzał. Potem żeglowania, tkania, pasterstwa, uprawy ziemi. Dopiero znacznie później wytwarzania narzędzi z miedzi, używania motyki, hodowli bydła, nawadniania pól. A jeszcze później wznoszenia murów, stawiania progów i bram. I nadawania nazw: Chorezm, Baktria, Sogdiana.



Perski dywan

Uczyć się historii królestwa Seleucydów, którym w I wieku zawładnęli Kuszanie. Historii ludów Turanu, które, przemieszczając się na Bliski Wschód, przyczyniły się do upadku Babilonii oraz powstania imperium Persów i Medów. Historii Buchary, założonej w dolnym biegu Zeraszwanu, gdzie rzeka, oddając swoje wody polom i sedom położonym w pobliżu niej, zanika w gęstych trzcinach. Wygląd przedmuzułmańskiej Buchary został utrwalony w „Historii Buchary” przez historyka Narszahi. Zanotował on, że miasto było otoczone murem i podzielone na dzielnice, że władca Bidun wybudował w cytadeli pałac na siedmiu filarach symbolizujących siedem gwiazd Wielkiej Niedźwiedzicy i że po zdobyciu Buchary przez Arabów kupcy zostali usunięci z miasta i wybudowali na przedmieściach 700 domostw, których bramy ozdobione były rzeźbami. W przeci-

wieństwie do wielu innych miast, Bucharą pozostawała zawsze na tym samym miejscu i nowe zabudowania narastały na wcześniejszych.

Budynki wtopione w przestrzeń i czas. Struktury nieruchome w czasie i przestrzeni. Przechodzień jest kroplą, która spływa po murze, niewielkim strumieniem, który wpełza w ziemię, wysycha na kamiennym bruku. Przechodzień musi przypomnieć sobie kim jest, albo dowiedzieć się tego. Musi wiedzieć, że, skoro nauczył się wędrować, to nie znaczy, że musi zapomnieć, jak się osiedlać w nowej przestrzeni. Przechodzień taki to pielgrzym, to ten, co wie, gdzie jest jego miejsce i miejsce, które ma oswoić. Zna bezruch i ruch. Ma dom z kamienia lub cegły, ale używa, kiedy zajdzie potrzeba, ruchomego domu. Zna potrzebę odnajdywania miejsc obwarowanych murem, ale nie wyzbywa się potrzeby wolności poza murem grodu lub twierdzy. Wie jak porównywać do siebie odległe miasta, a także wie, jak odnajdywać różnice między pustynią i stepem, między pustynią i pustynią, stepem i stepem. Pielgrzym potrafi odnaleźć swój ślad odcisnięty w ziemi, ale i na miejskim bruku. Pielgrzym umie odnaleźć siebie wśród zrazu obcych murów miejskich, jak i wśród drzew lasu, którego nigdy wcześniej nie przeszedł. Pielgrzym idący do Buchary, to ten, co wyszedł, jak ja, z odległego miasta. I uczy się nowego.

Dowiaduje się, że w X wieku Bucharą stała się stolicą wielkiego państwa, którym władali Sasanidzi pochodzący z lokalnej

tadżyckiej arystokracji. Oderwanie od kalifatu i kres dominacji Arabów sprawiły, że miasto wkroczyło w okres ekonomicznego i kulturalnego renesansu. Przebywali i tworzyli tu najwięksi uczeni i poeci, a biblioteka pałacowa nie miała sobie równej w całym świecie muzułmańskim – była bogatsza nawet od biblioteki w Sziraz. Jak pisał Abu Ali ibn Sina, zwany Awicenną, który tu żył i pracował, mieściła się w osobnym budynku i podzielona była na wiele działów; w każdym z nich na licznych półkach, biegnących jedne nad drugimi, ułożone były dzieła reprezentujące jedną z dziedzin nauki, jak filologia, poezja, prawo itd. Istniał też katalog rzeczowy. *Oglądałem tam księgi, mówi Awicenna jakich nikt nigdy nie widział gdzie indziej.* Oprócz niego chętnie przebywał w Bucharze Ferdousi, autor wielkiego poematu perskiego „Szachname” oraz Rudaki, poeta i muzyk, pierwszy wielki klasyk perskiej literatury. Z Bucharą związani też byli: matematyk i astronom Abu Dżafar Muhammad ibn Musa al Chorezmi, dzięki któremu rozpowszechniły się w Europie cyfry hinduskie zwane arabskimi.

Za ich czasów powstają nowe formy i typy budynków. Nauczono się posługiwać techniką wypalania cegły. Zmienia się struktura miasta: stare centrum, „szahristan”, otaczają przedmieścia zamieszkałe przez kupców i rzemieślników, gdzie toczy się handlowe życie, powstają nowe mury zewnętrzne o jedenastu bramach. Nieopodal murów Buchary rozciągają się ogrody nawadniane siecią kanałów irygacyjnych. W cieniu drzew i wśród

kwiatów wznoszą się podmiejskie pałace. W X wieku w innych rejonach świata Bizantyjczycy zdobywają od Arabów Kretę (961), upada Państwo Wielkomorawskie, do którego cesarz bizantyjski Michał III wysłał Cyryla i Metodego (863), Chińczycy drukują za pomocą płyt miedzianych, a także rozpowszechniają druk ksylograficzny (ok. 950), powstaje meczet Al Azhar w Kairze, a przy nim sławna uczelnia (972-988) i nawraca się Ruś (988). Wyglądu Bucharzy z tego okresu mogę się tylko domyślać. Jedyną pozostałością tych czasów jest kubba Sasanidów znajdująca się w północno-zachodniej części miasta do niedawna jedynie do połowy widoczna pod narosłymi z czasem warstwami grobowców. Budowla zapoczątkowała wyjątkowo monumentalny styl w lokalnym budownictwie. Mauzoleum, mocno osadzone na ziemi, symbolizuje idee spokoju, bezpieczeństwa i trwałości. Trwałość ma w tym wypadku jeszcze inne znaczenie. Mauzoleum jest bowiem przykładem silnego związku ze starą, przedmuzułmańską tradycją sztuki budowlanej, łączy architekturę Samanidów z architekturą sogdyjską.



Ryszard Sawicki, Buchar, rysunek.

Wychodzę z mauzoleum i oto jestem już w Bucharze Karakhanidów, to znaczy w XI i XII wieku. Stoję przy portalu starej budowli, tym najważniejszym elementem budynku, tym, który determinuje wrażenie widza. Wspaniała fasada dekorowana jest wycinanym w terakocie ornamentem roślinnym i ozdobnym pismem husn-i-hatt. Pismo to przypomina linie, które tworzą cienie bezlistnych gałęzi na żwirowej ścieżce, albo kręgi wodne, jakie powstają, gdy rzucić na powierzchnię sadzawki garść żwiru. Wtedy z małych punktów rozbiegają się we wszystkie strony drobne kręgi, przenikają się, tworząc skomplikowane geometryczne wzory. Trwa to chwilę. Pismo na

ścianach budowli trwa znacznie dłużej. Ale tam, gdzie zachowały się tylko jego fragmenty, widać tylko płaszczyznę muru podobną do dna wyschniętej sadzawki, z której uszła woda, uszło życie. I tylko cienie cieni zarysowane w pamięci pojawiają się, by sugerować przerwany w połowie czy ćwierci wiersz.

Jesteśmy w rezerwacie wyobrażeń... stąd słowo leci daleko... tam pośród duszy stalaktytów, na dnie wszystkich poematów, wśród resztek jakiejś roślinności, pociętych zbroi, porzuconych wozów, zawsze ten sam... i coraz głębsze we mnie są podziemia... i wiersz pasuje do rycerza.

Dalszy ciąg ukaże się w czwartek 4 maja 2017 r.

Igor Mitoraj. Antyczne

retrospekcje.

Ktoś mówi, że mi się w życiu udało, to pukam się w czoło. Na swój sukces pracowałem ponad 30 lat. Zarabiam pieniądze na sztuce i one dają mi wolność. Miałem wprawdzie ogromne szczęście w życiu, bo nigdy nie musiałem prosić galerników o wystawianie moich prac i nie byłem zmuszony do składania ofert kolekcjonerom, ale zanim stałem się wolny, musiałem przejść swoje. Kiedy zaczynałem karierę artystyczną, zarabiałem na życie wnosząc fortepiany i meble na szóste piętra paryskich kamienic.

Igor Mitoraj



Igor Mitoraj, fot. Interia Fakty.

Artysta jest zaliczany do grona najwybitniejszych współczesnych rzeźbiarzy. Jego prace znajdują się w kilkudziesięciu muzeach, fundacjach i siedzibach największych korporacji na świecie.

Igor Mitoraj (1944-2014) urodził się w Oederan w Rudawach jako syn deportowanej polskiej robotnicy przymusowej i francuskiego jeńca wojennego, oficera Legii Cudzoziemskiej. Po

zakończeniu wojny matka wraz z synem powróciła do Polski, do swoich rodziców. Dzieciństwo i młodość Mitoraj spędził w miejscowości Grojec. Po ukończeniu Liceum Plastycznego w Bielsku-Białej wstąpił w 1963 r. na Akademię Sztuk Pięknych w Krakowie, gdzie studiował malarstwo pod kierunkiem Tadeusza Kantora.

W 1968 roku, po studiach wyjechał do Paryża studiować w *Ecole Nationale Supérieure des Beaux Arts*. Zaczynał tam jako malarz i grafik; w 1976 roku miał wystawę w galerii *La Hune* w Dzielnicy Łacińskiej.

Później zajął się rzeźbą. Otrzymał propozycję przygotowania wystawy dla galerii *ArtCurial* w Paryżu, prowadzonej przez bratanka ówczesnego prezydenta Francji, Mitteranda. By przygotować prace do tej wystawy, Mitoraj wyjechał na rok do centrum artystycznych odlewni pracujących w brązie oraz kamieniarzy pracujących w marmurze w Pietrasanta, we Włoszech. Tam powstały pierwsze brązy Mitoraja oraz pierwsze monumentalne rzeźby z białego marmuru z pobliskiej Carrary.

Od momentu wystawy *ArtCurial* w 1977 roku rzeźby i rysunki Igora Mitoraja pokazano na 120 wystawach indywidualnych na całym świecie. Jego rzeźby, często gigantycznej wielkości, stoją w reprezentacyjnych punktach wielu miast – m.in. w Paryżu na La Defense oraz w Rzymie, Mediolanie, Lozannie, Londynie,

Krakowie, Scheveningen koło Hagi, w USA i Japonii.

W 2009 r. Mitoraj wykonał tzw. Anielskie drzwi do kościoła Matki Bożej Łaskawej na warszawskim Starym Mieście. Wcześniej podobne drzwi stworzył dla kościoła Santa Maria degli Angeli w Rzymie. Wielkim wydarzeniem we Włoszech była ogromna wystawa dzieł Mitoraja w Dolinie Świątyń w Agrigento na Sycylii, w 2011 roku.

Artysta większość życia spędził na Zachodzie, głównie we Francji i we Włoszech. Miał dom i pracownię w Pietrasanta w Toskanii. Do kupna domu w Pietrasanta, we włoskiej stolicy marmuru, miasta rzeźbiarzy, gdzie tworzył m.in. Michał Anioł, namówił go kolumbijski rzeźbiarz Fernando Bolero. Tę włoską pracownię artysta uważał za „swoje miejsca na ziemi”, choć wcześniej mieszkał w Paryżu, próbował osiedlić się w Meksyku, by poznać sztukę Azteków i podróżował po Grecji, studiując antyczne dzieła sztuki.



Rzeźba Igora Mitoraja „Dedal” w Pompejach, fot. PAP/EPA

Antyk bowiem był jednym z głównych źródeł inspiracji artysty. Tworząc swoje rzeźby odwoływał się wprost do mitologii lub historii Grecji i Rzymu, niekiedy już w tytule samego dzieła: **„Ikar”**, **„Centauro”**, **„Eros”**, **„Mars”**, **„Gorgona”**, **„Paesaggio Ithaka”**. Jak zauważają krytycy sztuki, artysta przywołując piękno i idealne proporcje rzeźb klasycznych, jednocześnie je reinterpreterował, uwspółcześniał. Uzmysławiał odbiorcy niedoskonałość ludzkiej natury poprzez umyślne spękania i uszkodzenia powierzchni posągów.

Styl Mitoraja jest obecnie rozpoznawany przez miłośników sztuki na całym świecie. Elementem charakterystycznym prac Mitoraja są usta, które zawsze mają kształt ust autora i stanowią nieformalny „podpis” rzeźbiarza na dziele. Artysta zmarł w

Paryżu w 2014 r.

Do 1 maja 2017 r. trwać będzie wystawa 30 prac Igora Mitoraja w Pompejach. Wystawę przedłużono o cztery miesiące i była ona jednym z najważniejszych wydarzeń kulturalnych minionych miesięcy we Włoszech. Monumentalna rzeźba „Dedal” pozostanie tam na zawsze. „Dedal” ustawiony jest przy wejściu na teren pozostałości starożytnego miasta zniszczonego w wyniku wybuchu Wezuwiusza.

Na podstawie: PAP, Wikipedii, TVN24, Culture.pl, oprac. Joanna Sokołowska-Gwizdka

Galeria



Igor Mitoraj, „Torso di Ikaros”, fot. Wikipedia.



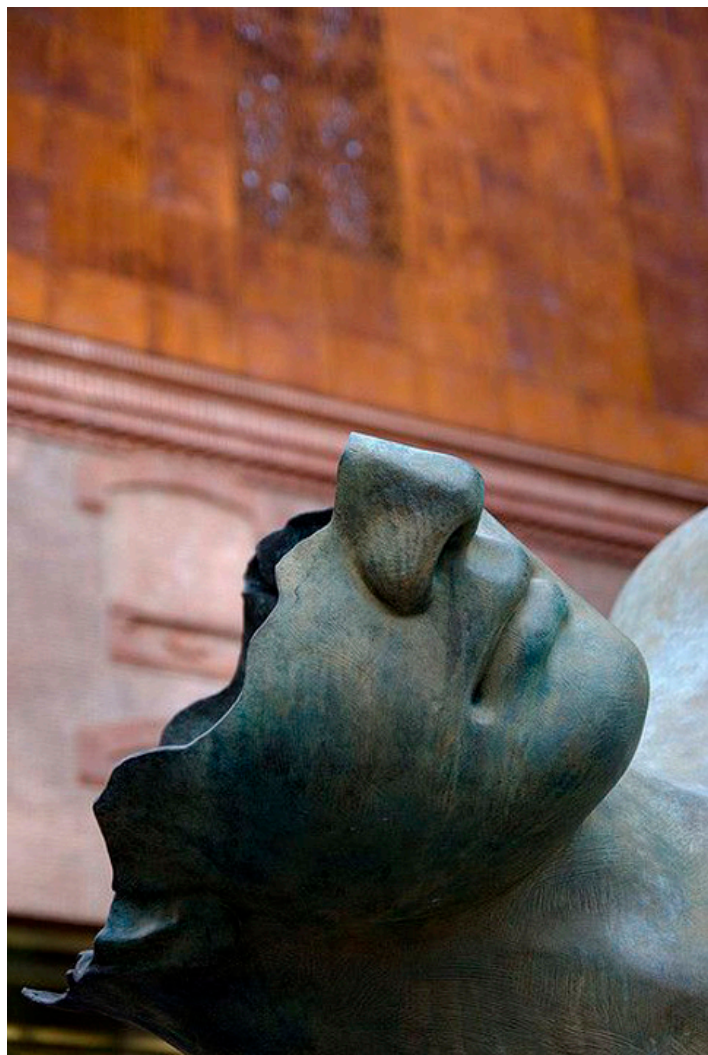
Rzeźba Igora Mitoraja w Hadze (Scheveningen), 2004 r., fot. Wikipedia.



Rzeźba Igora Mitoraja w Walencji, 2006 r, fot. Wikipedia.



Igor Mitoraj, „Światło księżycy” 1991 r, Uniwersytet Jagielloński w Krakowie, fot. Pinterest.



Rzeźba Igora Mitoraja w Madrycie, fot. Pinterest.



Rzeźba Igora Mitoraja w Rzymie, fot. Pinterest.



Rzeźba Igora Mitoraja w Rzymie, fot. Pinterest.



Wystawa prac Igora Mitoraja w Pompejach.



Igor Mitoraj, „Upadły Anioł” („Angelo Caduto”). Rzeźba usytuowana w pobliżu Krzywej Wieży w Pizie.

Najpierw człowiek, potem artysta: Kazimierz Wierzyński.



Kazimierz Wierzyński, 1928 r.,
fot. Narodowe Archiwum
Cyfrowe.

Florian Śmieja

Mógłbym pamiętać Wierzyńskiego (1894-1969) jako bożyszcze wystrojonych, wytwornych pań i eleganckich panów, którzy w londyńskim Ognisku witali go owacyjnie, kiedy przyjeżdżał zza wielkiej wody. Piękna, postawna postać wziętego poety wabiła oko, a uchu schlebiała jego popularna poezja o urodzie życia świadcząca.

Znałem go jako zdobywcę medalu olimpijskiego, który tyczkarza i dyskobola pomieścił na Parnasie. Czytałem chętnie jego beztroskie wiersze i jego utwory emigracyjne pełne melancholii. Wzruszył mnie jego kufer, „blachą okuty”, któremu pozostał wierny.

Cała moja ojczyzna,
Paszporty, obywatelstwa,
Emigracyjne wizy.

Po dziś dzień robi na mnie wrażenie jego liryczne zaproszenie:

Ktokolwiek jesteś bez ojczyzny

Wstąp tu, gdzie czekam po kryjomu:

W ugornej pustce jałowizny

Będziemy razem nie mieć domu.

A przecież, kiedy żył, twórczość jego znałem zaledwie powierzchownie, będąc w wieku, kiedy zbyt wiele nowego kłóci się w zajadłej kakofonii o wejście do jaźni. Był to też wiek górny, wiek durny krępowany kapliczkowymi lojalnościami, a przynajmniej krzątaniną.

Chociaż nie dałem sobie narzucić grupowej obroży, były inne powody, bardziej prozaiczne, jak choćby ustawiczne zachody, aby uruchomić, a potem utrzymać własne pismo, warsztat i trybunę, które uniemożliwiały czy utrudniały bliższe obcowanie z kolejnymi tomami Wierzyńskiego, nic już nie mówiąc o przeżywaniu ich, jak na to zasługiwały. Musiała więc poezja ta poczekać cierpliwie. Nie trzeba zresztą było się obawiać, że się zdezaktualizuje.

Wierzyński znany był z wielkiej serdeczności, jaką otaczał młodych poetów. Być może, że taka już była jego natura. Mógł

był również wdzięcznie zapamiętać wrażenie, jakie na nim wywarła głośna recenzja Wacława Grubińskiego witająca w słowach wyrażających najwyższy podziw tomik „Wróble na dachu”.



Halina i Kazimierz Wierzyńscy,
Frascati 1965 r., fot. Biblioteka
Uniwersytecka w Toruniu.

Będę go pamiętał za to, że był „najpierw człowiekiem, potem artystą”(motto jego poetyckiego debiutu). Na krótko przed swoją śmiercią sprawił mi wielką przyjemność i honor. Po

przeniesieniu się na uniwersytet w Nottingham, rzadziej bywałem w Londynie. Przyjechawszy raz wśród zimy mocno przeziębiony odwiedziłem, jak to było moim zwyczajem, drukarnię Oficyny Poetów i Malarzy mieszczącą się pod przęsłem mostu kolejowego na Tamizie opodal stacji kolejowej Waterloo. Czekala mnie miła niespodzianka. Czesław i Krystyna Bednarczykowie, poeci, drukarze i właściciele Oficyny, zaprosili mnie na kolację do pobliskiej restauracji pod słynną salę koncertową Royal Festival Hall. Tam, ku mojej wielkiej radości, pojawili się Halina i Kazimierz Wierzyńscy. Pan Kazimierz rozbroił mnie na samym wstępie, kiedy uściskawszy mnie oświadczył prosto, że miał wprawdzie inne plany na wieczór, ale przecież nie chciał stracić okazji, żeby mnie wreszcie poznać osobiście. (Wymienialiśmy od czasu do czasu listy). Tłumaczył, że w jego wieku nie mógł sobie pozwolić na zaprzepaszczenie takiej szansy.

Ta szlachetna wielkoduszność w stosunku do młodszych kolegów po piórze jakże odbiegała od przysłowiowej zazdrości pisarzy. Zmiarkowawszy ponadto szybko, że ledwo mogłem mówić, tak się moją chorobą przejął, że nakazał zostać w Londynie i udać do jego lekarza gwarantującego murowany efekt kuracji. Po dziś dzień odczuwam wzruszenie na myśl o szczerzej trosce mistrza Kazimierza, któremu niedługo potem nawet jego zaufany lekarz pomóc nie zdołał.



Kazimierz Wierzyński w ogrodzie w Sag Harbor, fot.
Biblioteka Uniwersytecka w Toruniu.

Wierzyńscy, po długich latach tułaczki w obu Amerykach, wrócili do Europy, aby osiąść w Londynie, otoczeni przyjaciółmi i wielbicielami. Wieść o nagłym zgonie poety rozeszła się po Anglii błyskawicznie. Pojechałem na pogrzeb, który m.in. zgromadził komplet pisarzy i redaktorów.

Na cmentarzu na Hampsted po pięknym przemówieniu ambasadora Edwarda Raczyńskiego i po oracji Aleksandra Janty, który przyleciał z Nowego Jorku, fotografowano licznie zebranych żałobników. Stojąc z boku na żadne oficjalne zdjęcie jego pogrzebu się nie dostałem. To dobrze. Byłby to przywilej nie zasłużony.

Miłość po szkocku. Podróż do Polski.

Urodzona i wychowana w przedwojennym Glasgow Mary, nie zaznała w dzieciństwie miłości. Żyła w swoim świecie dziecinnych ideałów. Wojna nauczyła ją, jak być odporną i jak sobie w życiu radzić. Uosobieniem jej młodzieńczych marzeń jest jej ojczym, Jan Rogacki (właściwie Władysław Kolecki), Polak, służący na kontrtorpedowcu „Błyskawica”. Mary zdaje sobie sprawę, że to nie jest zwykły żołnierz, lecz bohater, który miał nieszczęście ożenić się z jej matką. Jan jest całe życie obecny w życiu Mary i jest dla niej kimś ważnym. Za matką i ojczymem

emigruje wraz ze swoją rodziną do Australii, osiedla się w Perth. Zaczyna walczyć o przetrwanie w nowej rzeczywistości, jak większość emigrantów i uczy się nowego życia. Codzienne problemy pochłaniają ją, ale nigdy nie zapomniła o Janie i jego polskości. W jaki sposób Mary zrehabilituje Jana i odda sprawiedliwość jego poświęceniu dla swojej ojczyzny, w następnych odcinkach. Mary jest postacią autentyczną.



Polski krajobraz

Anna Habryn

Rozdział 5

Mary miała zaproszenie do Anglii, na wesele. Właśnie załatwiała sobie rezerwację biletu na pociąg, kiedy wpadło jej w oko: „Lot do Polski po obniżonej cenie”. A może by...? Czy starczyłoby jej odwagi? Problemy językowe skomplikują sprawę, poza tym siostra Jana, Seweryna, pisała, że wyjeżdża na wakacje nad Bałtyk, ale tak czy inaczej, Mary przecież miała w torebce jej numer telefonu!

Była świadoma, że jej zasób polskiego słownictwa nie wystarczy, żeby załatwić cokolwiek przez telefon, ale ten problem można było rozwiązać. W Kirkcaldy była duża grupa Polaków, a Jan był tam kiedyś dość znany i lubiany. Mary poszła więc do polskiego klubu w nadziei, że ktoś tam sobie jej ojca przypomni.

Wszystko tu wyglądało jak dawniej. Wróciły wspomnienia: zobaczyła oczyma wyobraźni Jana, młodego, wesołego mężczyznę przy karcianym stoliku, pijącego z innymi wiśniówkę. To był bardzo patriotyczny klub, bardzo polski. Na wysokim maszcie przed budynkiem powiewała – tak jak dawniej – polska flaga, na cementowym postumencie rozpościerał skrzydła Biały Orzeł. Pod pomnikiem generała Sikorskiego, jak przed laty i jak zawsze, stał w wazonie bukiet białych i czerwonych kwiatów.

Poszukała kierownika, przedstawiła mu się. Wyjaśniła, że

chciałaby pojechać do Poznania, do ciotki, ale nie dogada się z nią przez telefon, chociaż ciotka zna jej głos, więc może on zechciałby porozmawiać w jej imieniu?

- Ależ to żaden problem, proszę pani.

- Oh, bardzo panu dziękuję - powiedziała.

Ta rozmowa telefoniczna była zabawna i bardzo kosztowna. Seweryna była w domu. Mary odezwała się pierwsza, przedstawiła się, a potem oddała słuchawkę „tłumaczowi”. Powtarzał jej głośno po angielsku, co po tamtej stronie mówiono po polsku, a wszyscy klienci baru słuchali tego z wielkim zainteresowaniem. Gospodarz brylował w roli tłumacza, błyszczał elokwencją i po jakichś dwudziestu minutach Mary wreszcie była pewna, że Seweryna przyjmie ją z otwartymi ramionami.

Z Manchesteru miała lecieć do Amsterdamu, a potem do Warszawy.

Gorączkowo usiłowała nauczyć się trochę więcej polskiego. W każdej wolnej chwili wypisywała ze słownika polskie słowa i ich angielskie odpowiedniki.

Jej rodzina w Anglii uważała, że Mary zwariowała. Co będzie,

jeśli wsiądzie do niewłaściwego samolotu? Czy będzie umiała zatelefonować? Im bardziej byli negatywnie nastawieni, tym bardziej Mary się utwierdzała w swoim postanowieniu. To była jej szansa sprawdzenia się.

Tak czy inaczej, było już za późno na wątpliwości, jej podróż do Warszawy była opłacona. (...)

.Dwie godziny przed odlotem, była naprawdę w drodze do Polski.

Mary siedziała blisko kabiny załogi. Samolot nie był pełny. Lot miał trwać trzy godziny, niedługa podróż. Wyjęła swój polski słownik i zaczęła wypisywać wszystkie te podstawowe słówka, których będzie musiała użyć: bilet, proszę, itp.

Stewardessa zapytała:

– Skąd pani pochodzi?

– Z Australii – odpowiedziała Mary – ale z urodzenia jestem Szkotką.

– O – ucieszyła się – nasz pilot jedzie do rodziny w Australii. Do Perth, czy pani tam była?

– Mieszkam tam.

Stewardessa zniknęła i wróciła z butelką szampana.

- Dziękuję - rzekła Mary - czy mogę ją zabrać do mojej ciotki w Poznania?

- Damy pani drugą. Kapitan chciałby z panią porozmawiać.

Czuła na sobie oczy wszystkich pasażerów, kiedy dziewczyna prowadziła ją do kabiny załogi. To było naprawdę podniecające. (...)

Zniżali się do lądowania. Miała wylądować na polskiej ziemi!

Na prawo od skrzydła samolotu pojawił się napis: WARSZAWA. Pięknie czerwony i biały, wspaniały, aby widzieli go wszyscy wracający synowie Polski. Och, gdyby Jan mógł być tu razem z nią! Włożyła w patrzenie całe serce, musiała ten moment wchłonąć, żeby przekazać go staremu człowiekowi, jej ojcu, tam w Perth. (...)

W taksówce, była już sama. Przejechali Wisłę. Ulice wydawały się Mary podobne do Paryża, podobały jej się ozdobne budynki. Jakieś muzeum przypomniało jej Edynburg. Ludzie wyglądali na zdrowych i zabieganych. Młodzi ludzie, szczególnie nastolatki, byli na ogół jasnowłosi, dobrze zbudowani, a dziewczęta miały w sobie coś bardzo polskiego, cokolwiek to było, wyglądały inaczej

niż Australijki czy Szkotki, były bardzo kobiece, pięknie opalone, o złotej skórze.

Dworzec kolejowy wydawał się tkwić w środku wielkiej przelotowej arterii. Mary zapłaciła kierowcy 30 złotych, co – pomyślała – było tanio, *cheap*, i udała się prosto na stację. Wszystko wydawało się takie proste. (...)

Pociąg był śliczny, czysty, wygodny, dla niepalących. “British Railways, uczcie się od Polskich Kolei”. Jan mówił jej, że w Polsce mieli wspaniałe pociągi, ale – Boże, to było w 1938. “Widocznie pociągi są tu ważną rzeczą, skoro koleje dorównują ciągle wspomnieniom Jana.”

Czuła się trochę zmęczona, ale zdecydowanie nie zamierzała spać. Podano gorącą herbatę i kawę. Wybrała to drugie, a do tego polskie ciastko. Za darmo. Była naprawdę pod wrażeniem. (...)



Polski kajobraz

I oto nareszcie została cudownie pozostawiona sam na sam z krajobrazem. Mijali osobliwe miejsca, chłopci na polach czasem podnosili spojrzenie na przejeżdżający pociąg. Trwały żniwa, koszone pola. Nie widziała wspaniałej żniwnej maszynery, jaką mają farmerzy w Australii. Widziała natomiast konny zaprzęg i starego chłopca idącego za pługiem. Widziała traktory, ale na polach było dużo więcej ludzi w porównaniu do tego, co widzi się w Australii.

Pociąg zwolnił bieg, mijając jakąś bocznice kolejową, pełną starych wagonów towarowych. Mary poczuła nagle, jakby się cofnęła w czasie o 50 lat. Gdzieś w jej pamięci tkwiło ciągle

bardzo żywe dziecięce wspomnienie Polski z wojennych kronik filmowych. Były tam właśnie wagony, stare wagony o drewnianych ścianach, takie jak te, ciągle jeszcze tkwiące na jakichś bocznych torach. W jej pamięci uwoziły one ze stukotem ludzki ładunek, trzymany przemocą, uwięziony w skrzyniach na kołach. Ich przeznaczeniem było piekło. Wyobraźnia – raz pobudzona – nie dawała Mary spokoju. Patrzyła przez szybę jak urzeczona. Nie śniła, czuła w przestrzeni za oknem duchy unicestwionych ludzi, ciągle nie mogące spocząć, błakające się dookoła. Widmowo przepływały za oknem wioski budzone w środku nocy, czuła ich strach, brzmiało echem wołanie o pomoc, którego nie chciano słyszeć. Pięć długich lat podporządkowanych “diabłom z Niemiec”. Te myśli ciągnęły się, kilometr za kilometrem. Ta ziemia była tak płaska, tak łatwo dostępna dla czołgów, ciężarówek, nawet rowerów. Warszawa była dokładnie na drodze na wschód, w prostej linii od Berlina.

Chyba usnęła. Obudziła się, kiedy dojeżdżali do Poznania. Teraz domy były podobne do przedmieść Paryża lub Szkocji. Widziała stare kamienne budynki, domki dla robotników, które wytrzymały próbę czasu. Nowe trafiały się rzadko, ale można je było łatwo rozpoznać po kolorowych dachówkach.

Pasażerowie zaczęli się ruszać. Młody człowiek zaoferował się, że poleci taksówkarzowi jechać pod adres, który Mary trzymała mocno zaciśnięty w ręce. Kiedy schodzili na peron, jego śliczna

dziewczyna już czekała. Objęli się, jak to czynią zakochani, a Mary zatrzymała się z tyłu, żeby nie przeszkadzać im w tej ich chwili miłości. Młody człowiek uwolnił się z uścisku i powiedział:

– Ta pani jest Australijką.

Dziewczyna potrząsnęła ręką Mary i zarzuciła ją pytaniami, a jej chłopak z twarzą zarumienioną z emocji, nie mógł się doczekać, żeby wsadzić Mary do taksówki. Pomachała do nich ręką przez tylną szybę:

“Żegnajcie, młodzi kochankowie, Bóg z wami, wolni żeby kochać, wolni żeby żyć.”

Rozdział 6 ukaże się w poniedziałek 8 maja 2017 r.

Ścieżki nauki, ścieżki

historii

Józef Lityński (1928-2013) był geofizykiem, klimatologiem, profesorem Université du Québec à Trois-Rivières, działaczem polonijnym, wieloletnim prezesem Instytutu Naukowego w Kanadzie. Rozmowa odbyła się w Montrealu w 2004 roku.



Józef Lityński w swoim domu w Montrealu, fot. Jacek Gwizdka.

Joanna Sokołowska-Gwizdka: Jest pan prezesem Polskiego Instytutu Naukowego w Kanadzie. Mieszka pan w Montrealu, gdzie mieści się centrala, ale musi pan czuwać nad czterema oddziałami, nie tylko w Montrealu, ale i w Ottawie, Toronto i Vancouver. Instytut działa więc w całej Kanadzie, bo tak na wschodnim, jak i na zachodnim wybrzeżu.

Józef Lityński: Teoretycznie działamy w całej Kanadzie, choć z Vancouver kontakty są utrudnione, ze względu na odległość. Z Ottawą mamy dobry kontakt. Natomiast z Toronto przez wiele lat dobrze nam się współpracowało, no ale ostatnio działalność oddziału osłabła i jesteśmy w trakcie jej uaktywniania. Dwa lata temu byłem też w Halifaxie, z nadzieją na otworzenie tam oddziału Instytutu. Przyjęty zostałem entuzjastycznie, na spotkanie przyszło ok. 40 osób, byłem więc przekonany, że oddział będzie aktywny. No, ale niestety nic z tego nie wyszło. Mimo że Halifax leży na wschodnim wybrzeżu, ale widać to też daleko.

JSG: Na czym w tej chwili polega działalność Instytutu?

JL: Główną naszą działalnością jest prowadzenie Biblioteki Polskiej im. Wandy Stachiewicz w Montrealu. Poza tym, mniej więcej 3-4 razy do roku, organizujemy odczyty na różne tematy. Parę lat temu były to głównie tematy historyczne, a teraz w ramach Koła Naukowego wypowiadają się też biolodzy, lekarze,

ja miałem odczyt na temat klimatu itd. W Montrealu mamy wielu polskich biologów. To jest tradycja zapoczątkowana przez jednego z członków-założycieli Instytutu, prof. W. G. Penfielda z Uniwersytetu McGill. Poza tym Instytut bierze udział w wielu akcjach, np. w programie, skierowanym do młodzieży polskiego pochodzenia z Kanady i USA „Polska w Górach Skalistych”. Co roku uczestniczymy w organizowaniu Uniwersytetu Letniego Kultury Polskiej w Rzymie. Wysyłamy tam zarówno uczestników, jak i wykładowców. Ja też miałem tam kiedyś cykl trzech wykładów historycznych. Mimo, że historia nie jest moją specjalnością zawodową, bardzo się nią interesowałem i interesuję nadal. W Montrealu, miałem cykl wykładów, trwający ok. 2 lata, na temat najnowszej historii Polski. O dziwo, cieszyły się dużą frekwencją, ludzie przychodzili regularnie, a ja na przygotowanie tych odczytów, poświęcałem więcej czasu, niż na przygotowanie wykładów uniwersyteckich. (...)

JSG: Polski Instytut Naukowy w Kanadzie powstał jeszcze podczas wojny z inicjatywy polskich intelektualistów.

JL: PIN powstał w październiku 1943. Początkowo był filią Instytutu amerykańskiego, który został rok wcześniej zorganizowany przez polskich emigrantów przybyłych do Ameryki zaraz po wybuchu wojny. Część z nich przyjeżdżała też do Kanady, niektórzy wykładali na Uniwersytecie McGill, jak np. światowej sławy historyk profesor Oskar Halecki. W Montrealu

również mieszkała duża grupa polskich uczonych, artystów, intelektualistów. Profesor Halecki i kilku jego współpracowników doszli więc do wniosku, że warto założyć kanadyjską filię tego instytutu. Dużą rolę w tworzeniu Instytutu odegrał wspomniany już neurolog prof. W. G. Penfield. Uczeni ci w większości byli członkami Polskiej Akademii Umiejętności w Krakowie, nawet Kanadyjczyk, prof. Penfield. Dzięki wstawiennictwu tych osób, Instytut dostał lokal na Uniwersytecie McGill, skromniejszy niż mamy dziś, ale dobry na początek. Dzisiaj mamy do dyspozycji cały dom przy ulicy Peel, czyli w centrum Montrealu, przy uniwersytecie, i co jest bardzo ważne, jest to lokal darmowy.



Biblioteka powstała dzięki inicjatywie pani Wandy Stachiewicz, żony byłego szefa sztabu Armii Polskiej z 1939 roku, Wacława Stachewicza. Generał Stachewicz był internowany w Algierii czy

w Maroku, i dopiero chyba w 1944 roku został zwolniony i wyjechał do Anglii. Jednak do wojska go nie wzięto, mimo że zaoferował swój udział w walce nawet jako szeregowiec. Pani Stachewiczowa znalazła się w Kanadzie zaraz na początku wojny, tak jak i wiele innych rodzin, które zostały tu przysłane z Anglii. Jej mąż przyjechał jakiś czas po wojnie. Po przyjeździe

czynnie włączył się w prace Instytutu. Biblioteką zaś cały czas zajmowała się pani Wanda, kobieta niespożytej energii. To dzięki niej biblioteka tak się rozwinęła, że dziś jest największą polską biblioteką na tym kontynencie. A my staramy się, żeby tak zostało. (...)

JSG: Odejdźmy na chwilę od Polski, jej historii i kultury. Osiągnięcia w różnych dziedzinach nauk zdobywane przez Polaków, ich wkład w naukę światową, popularyzują imię Polski. Pana dziedzina, klimatologia, ma stały wpływ na życie wszystkich mieszkańców ziemi. Wykładał pan przez szereg lat na Université du Quebec a Trois-Rivieres, prowadził pan badania na północy Kanady, na Madagaskarze, w Polinezji, w Afryce. Zapytam więc się pana o zagadnienie z dziedziny, w której jest pan specjalistą. Czy klimat na ziemi się oziębia, czy ociepla?

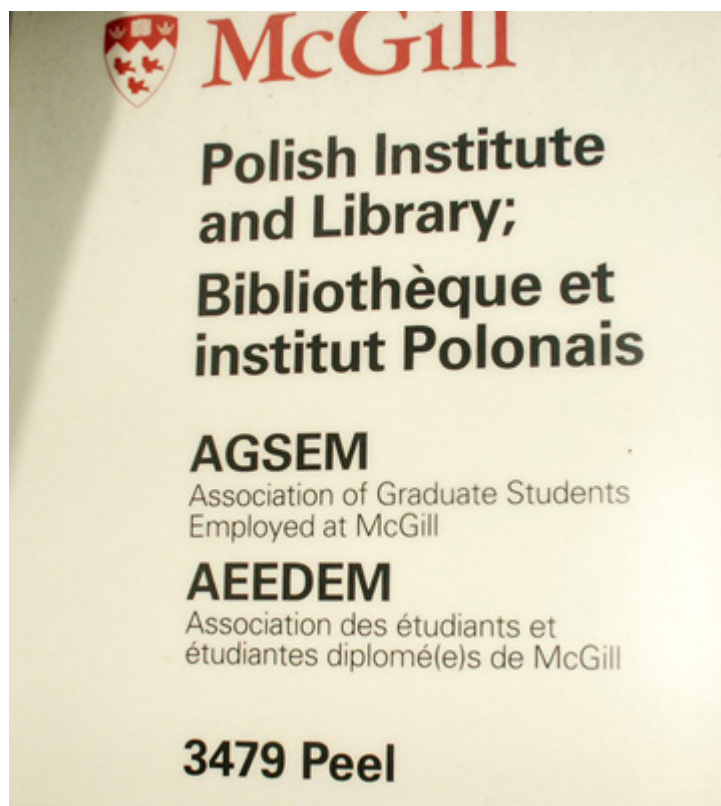
JL: Z meteorologią, jest jak z medycyną, nie ma nic pewnego, ale jest dużo argumentów, które przemawiają za ochładzaniem się klimatu. Prognozy globalnego ocieplenia powstają tylko na podstawie wyników, które się otrzymuje testując modele. Modelując cyrkulację atmosferyczną i oceaniczną, oblicza się, co będzie za rok, za 10 czy za 100 lat. Lecz jeśli model wykonany jest na podstawie dzisiejszej wiedzy, to użyty do prognozy za 10 lat jest mniej dokładny, a za 100 lat już bardzo niepewny. Tak więc, prognozy, które mówiły, że już powinno nastąpić ocieplenie, nie sprawdzają się, bo ocieplenia nie ma. Po

przejściowym ociepleniu z kulminacją w 1998 roku, klimat się wyraźnie ochładza. Tak samo nie znajdują potwierdzenia prognozy, mówiące o tym, że najszybciej klimat będzie się ocieplał w obszarach podbiegunowych, dlatego, że dane dotyczące lodowców, nie są skorelowane z temperaturą. Np. w okresie tzw. małej epoki lodowcowej (od ok. 1550 do 1750 r.n.e.), na podstawie opisów wypraw na wody północne stwierdzono, że lodów było mniej niż w poprzednich epokach. Dopiero potem ilość lodów się zwiększyła. Tak więc zjawiska lodowe pojawiają się z pewnym opóźnieniem w stosunku do temperatury. Jeśli stwierdzono, że pokrywa lodowa Arktyki jest cieńsza, to nie świadczy to o globalnym ociepleniu, bo ten fakt nic nie mówi, ani o temperaturze, ani o tendencjach. Ja zrobiłem dość dokładne studium temperatury wszystkich kontynentów. Wyraźnie z niego wynika tendencja ujemna, a nie dodatnia. Na Arktyce, temperatura owszem podniosła się w latach 50., ale potem opadła. Na kanadyjskich stacjach arktycznych, przez dwa kolejne lata 1998-99 temperatura nagle wzrosła o 4 stopnie. Wtedy zwolennicy globalnego ocieplenia krzyczeli – tak, już mamy ocieplenie. No, ale w kolejnych dwóch latach temperatura spadła, też o 4 stopnie.

JSG: Jakie mogą być konsekwencje dla życia na ziemi, jeśli klimat się znacznie oziębi?

JL: Przed paroma miesiącami opublikowana została tzw. prognoza klimatyczna dla Pentagonu. Amerykanie jej nie ujawniali, ze względu na możliwą panikę. Ale dziennikarze ją odkryli i opublikowali w którymś z angielskich pism. Ta prognoza jest katastroficzna. Według niej

w ciągu najbliższych lat ma znacznie spaść temperatura, a w wyniku tego zaczną tworzyć się lodowce. Oczywiście konsekwencje takiej zmiany klimatu byłyby dramatyczne. Ludzie zaczęliby umierać z głodu, bo ziemia, która teraz ma nadprodukcję żywności, nagle nie rodziłaby tyle, ile trzeba. Ja jednak uważam, że kierunek prognozy jest właściwy, natomiast nie sądzę, aby to ochłodzenie nastąpiło tak nagle. Ono może być dość nagle dla Skandynawii, gdyż tam temperatura jest wyższa o ok. 15 stopni, w stosunku do temperatury na tej samej szerokości geograficznej np. W Kanadzie, ze względu na Golfstrom. Prąd ten niesie nieprawdopodobne ilości energii z obszarów tropikalnych do obszarów północnych. W przypadku, gdyby uległ on zmniejszeniu, Skandynawia by to bardzo odczuła. No i oczywiście odbiłoby się to na całej Europie. Gdyby Golfstrom się



zatrzymał, w Skandynawii temperatura od razu spadnie o 5 stopni, natomiast w pozostałej Europie, o 2-3 stopnie. To wystarczy, aby na Półwyspie Skandynawskim zaczęły tworzyć się lodowce, a w reszcie Europy zima była dużo surowsza i dużo dłuższa.

JSG: Ale mówił pan, że według pana taka prognoza nie nastąpi zbyt szybko.

JL: Uważam, że nie może być tak, że pewnego dnia nagle zrobi się zimno. Chociaż są klimatolodzy, którzy tak twierdzą. Wszystkie zjawiska meteorologiczne i klimatologiczne są fluktuacjami. W naturze prawie wszędzie są ujemne sprzężenia zwrotne. To znaczy, że jeśli jakieś zjawisko wychyla się w jedną stronę, to natychmiast są uruchamiane mechanizmy, które je ściągają z powrotem. Jest tylko kilka zjawisk, w których występują sprzężenia dodatnie, ja je nazywam katastroficznymi, gdyż jeśli się utrzymują, muszą prowadzić do katastrofy. Są to np. reakcje jądrowe. W klimatologii zidentyfikowałem trzy sprzężenia katastroficzne. Jest to temperatura i dwutlenek węgla, temperatura i para wodna oraz temperatura i tzw. albedo – czyli zdolność odbijania promieni słonecznych przy powierzchni ziemi. I tak np. jeśli zwiększy się ilość dwutlenku węgla i temperatura nieznacznie wzrośnie, to produkcja dwutlenku węgla wzrasta. Mogłoby więc dojść do katastrofy. Ale nie dochodzi. To samo jest z parą wodną, czy albedo. Tylko na

pewnym odcinku sprzężenia zwrotne są pozytywne, później się kończą. Zwolennicy globalnego ocieplenia nie chcą uznać, że dwutlenek węgla powoduje ocieplenie tylko do pewnej granicy, a później sprzężenie niknie. Bo gdyby było inaczej, to dawno byśmy mieli katastrofę klimatyczną na ziemi. Widać są jakieś powody, które zatrzymują to zjawisko. W artykule, który właśnie wysłałem do Polski do publikacji, wykazuję, że dwutlenek węgla nie będzie tak się zwiększał, gdyż pochłanianie dwutlenku węgla przez system naturalny, tzn. roślinność i plankton z oceanach, jest proporcjonalne do ilości dwutlenku węgla w atmosferze. Aby więc podwoić ilość dwutlenku węgla (tak jak zwolennicy ocieplenia wykazują na modelach i mówią, że w ciągu 20 lat to nastąpi), musielibyśmy produkować 28 razy więcej dwutlenku węgla.

JSG: Na czym polegały badania, które przeprowadzał pan na Madagaskarze, w Polinezji, w Afryce...

JL: Na Madagaskarze brałem udział w programie Światowej Organizacji Meteorologicznej ochrony przed cyklonami. Spotykane tam depresje tropikalne wyrządzają wielkie szkody. Rocznie pojawia się na tym terenie średnio siedem cyklonów tropikalnych. Najwięcej jest ich na wschodnim wybrzeżu, gdyż z reguły przychodzą znad Oceanu Indyjskiego. Światowa Organizacja Meteorologiczna, na prośbę służby meteorologicznej z Madagaskaru, dała fundusze i wysłała ekspertów, aby

zorganizowali ochronę przeciwko cyklonom. Ja nie jestem specjalistą od cyklonów, pojechałem jako klimatolog. W ramach tego projektu zostały wybudowane trzy stacje radarowe, postawiono japońskie radary, które określały miejsce i siłę cyklonu. Dawało to czas na ostrzeżenie odpowiednich służb. Radary prezentowały się bardzo pięknie i początkowe prace wskazywały na dobre ich funkcjonowanie. No, ale specjaliści japońscy wyjechali, radary zaczęły się psuć i nie było nikogo, kto by potrafił je naprawić. Pracował wówczas z nami świetny amerykański specjalista. Na podstawie zdjęć satelitarnych potrafił powiedzieć, w którym miejscu powstaje cyklon, mimo, że jeszcze go tam nie było. Miejsce na zdjęciu, które wskazywał, było mniejsze niż łepiek od szpilki. On nie tylko widział tworzenie się cyklonu, ale potrafił też określić siłę, z jaką cyklon przyjdzie. Tak więc automatyzacja w obserwacjach meteorologicznych jest bardzo dobra, ale musi być połączona z obsługą, która jest do dyspozycji w każdej chwili. Maszyna może pomóc, ale nie wyeliminuje człowieka.

JSG: Mówił pan o Polakach, którzy tworzyli Instytut. A jak pan się znalazł w Kanadzie?

JL: Wyjechałem najpierw do stryja, który mieszkał w Kalifornii. Oficjalnie wyjechałem z Polski na wakacje. Pracowałem wówczas na Politechnice Warszawskiej. Był to okres po wydarzeniach 1968 roku, na uczelniach w Polsce panowała bardzo zła

atmosfera, zaczynały się represje. Pomyślałem więc, że jeśli uda mi się dostać paszport, to wyjadę. Jeżeli Sowieci zajmą Czechosłowację, zostanę za granicą, a jeśli nie, wrócę do Polski. Miałem wówczas 39 lat i nie chciałem się jeszcze jakieś 20 lat borykać, żeby w życiu coś osiągnąć. Wydawało mi się też, że za granicą można więcej zrobić dla Polski. Wtedy ważne było propagowanie na zachodzie idei niepodległej Polski. Natomiast w Polsce można było oczywiście pracować i to było bardzo potrzebne dla kraju, ale działalność polityczna nie była możliwa.

Po kilku miesiącach pobytu u stryja w San Raphael, zacząłem myśleć o wyjeździe do Kanady. Mimo że stryj pięknie mieszkał, ale ja źle się tam czułem, zapewne ze względu na język, bo mój angielski był słaby, natomiast dobrze mówiłem po francusku, gdyż pracowałem wcześniej przez 2 lata w Kongo Belgijskim. Nawiązałem więc kontakt z Uniwersytetami w Quebecu i dostałem zaproszenie na interview z Uniwersytetu Laval w mieście Quebec. Mimo że przyjazd do Kanady nie był taki prosty, gdyż nie chciano mi dać wizy kanadyjskiej, przez znajomych postarałem się o zaproszenie i dostałem wizę turystyczną. W międzyczasie Rosjanie zajęli Czechosłowację, zdecydowałem się więc na pozostanie za granicą. Przyjechałem do Kanady pod koniec listopada. Był to akurat taki rok, w którym zima bardzo wcześnie się zaczęła. W Quebecu leżała już stopa śniegu. – Do ładnego kraju przyjeżdżam – pomyślałem. Ale ja zimę bardzo lubię. Zawsze czekałem, żeby w Polsce były takie

śniegi, jak to opisywano w książkach, z wykopanymi tunelami i przejściami. W Polsce nigdy takiej zimy nie widziałem, więc bardzo mi się spodobało. Wtedy można było stosunkowo łatwo na stałe zostać w Kanadzie. Były to złote czasy dla emigrantów. Szybko dostałem prawo pobytu i pozwolenie na pracę, a w ciągu dwóch tygodni otrzymałem pierwsze kanadyjskie zatrudnienie – *post doctoral* na uniwersytecie Laval, na wydziale geografii. Nie jestem geografem, tylko fizykiem, magisterium zrobiłem z geofizyki, a doktorat z meteorologii i klimatologii. Geografowie mają chyba trochę kompleksów na punkcie fizyków czy matematyków, więc byli szczęśliwi, że jakiś fizyk chce u nich pracować. No, a dla mnie był to nie tylko zaszczyt, ale i możliwość normalnego życia.



Université du Québec à Trois-Rivières.

Otrzymałem kontrakt tylko na dziewięć miesięcy, do końca września. Na całe lato, od końca maja, aż do połowy sierpnia uniwersytet mnie wysłał na daleką północ Kanady, by tam prowadzić prace badawcze. To było wspaniałe, niesamowite przeżycie, tam jest na prawdę pięknie, mimo much i komarów. Zorganizowałem tam sieć lokalnych stacji meteorologicznych. Czas jednak leciał, mój kontrakt zbliżał się do końca. Jeszcze przed wyjazdem wysłałem listy ze swoją ofertą na inne uniwersytety. W połowie lipca dostałem list z Uniwersytetu w Trois-Rivieres. Był to właśnie powstający uniwersytet, pierwsze wykłady miały się zacząć we wrześniu. Miałem szczęście, bo powstawało wówczas od razu kilka filii, w sumie potrzebowali więc ok. 1000 profesorów. Zaproponowali mi pracę na wydziale geografii. Napisali, że miałbym wykładać klimatologię i... pedologię. Ta pedologia mnie przestraszyła, bo nawet nie wiedziałem, co to znaczy. Ale doszedłem do wniosku, że jeżeli będę mieć wątpliwości to zrezygnuję z mojej kandydatury, więc odpisałem, że chętnie podejmę się tej pracy. W końcu i pedologii można się nauczyć.

Teraz wiem, że to jest nauka o glebie. W liście podałem, że mogę przyjechać na interview, ale tylko w określony dzień tygodnia, w środę bodajże, gdyż z dalekiej północy samolot kursował raz na tydzień. Dostałem odpowiedź, że rezygnują z interview i angażują mnie do pracy. Ponieważ mój kontrakt na Laval jeszcze obejmował wrzesień, więc przez miesiąc pracowałem na dwóch

uniwersytetach. I tak się zaczęła moja kariera uniwersytecka. Na wydziale geografii na tym uniwersytecie pracowałem aż do emerytury, czyli do lata 1993 roku. Będąc już na emeryturze jeszcze przez dziewięć lat, prowadziłem wykłady zlecone z klimatologii. W ciągu pracy na uniwersytecie, miałem jeden roczny urlop bezpłatny, kiedy pracowałem dla Światowej Organizacji Meteorologicznej na Madagaskarze. A potem miałem jeszcze dwa razy rok sabatowy, pierwszy rok spędziłem we Francji i wykładałem na uniwersytecie w Aix-en-Provence, a drugi rok – w Polinezji, w Nowej Kaledonii, gdzie prowadziłem badania meteorologiczne.

JSG: Jaką uczelnię skończył pan w Polsce, skoro przygotowała pana do takiej kariery uniwersyteckiej?

JL: Zaczynałem we Wrocławiu. Pierwsze dwa lata zaliczyłem na uczelni, która się wtedy nazywała Uniwersytet i Politechnika Wrocławska (zanim jeszcze nadali jej straszną nazwę im. Bieruta). Ale jestem warszawiakiem. Z Warszawy wyjechałem tylko dlatego, że się nie mogłem dostać na studia, bo byłem „wrogiem ludu”. A byłem wielkim wrogiem ludu, gdyż mój ojciec był przed wojną pułkownikiem, i co gorsze, został za granicą. Tak więc byłem na czarnej liście i nie dostałem się, pomimo że egzaminy na Politechnikę Warszawską zdałem bardzo dobrze. Jak to przypadek czasami zmienia losy człowieka. Gdybym się dostał, byłbym inżynierem elektronikiem, bo elektronika była

moim głównym zamiłowaniem, a ponieważ nie mogłem się dostać, spróbowałem na fizykę we Wrocławiu i tam się dostałem.

Po studiach pracowałem jakiś czas w Państwowym Instytucie Hydrologiczno-Meteorologicznym w Warszawie. Następnie związałem się z Instytutem Matematyki na Politechnice Warszawskiej, najpierw jako asystent, potem wykładowca.

JSG: Czy mógłby pan opowiedzieć o swoim ojcu, pułkowniku, z powodu którego był pan „wrogiem ludu”?

JL: Przed wojną mój ojciec był dowódcą pułku, stacjonującego w Nowej Wilejce, która należała wówczas do Polski. Stacjonowały tam trzy pułki – 85 pułk strzelców wileńskich, 13 pułk kawalerii i 19 pułk artylerii. Był to jeden z większych ośrodków wojskowych w przedwojennej Polsce. Miasteczko było małe, ale koszary, oddalone o jakieś 3 km, stanowiły duży kompleks. Ja się urodziłem się w Warszawie, ale mój młodszy brat urodził się w Nowej Wilejce i to akurat w dzień święta pułkowego. Odbyła się wtedy wielka była uroczystość, syn dowódcy, dostał pamiątkowy dyplom itd.



Sztandar V Dywizji
Kresowej.

Potem mój ojciec był szefem sztabu Armii Poznań w 1939 roku i z tą Armią przeszedł kampanię wrześniową. Po walce nad Bzurą część armii przebiła się do Warszawy. W ostatnim tygodniu obrony Warszawy ojciec był w stolicy, a po kapitulacji dostał się do niewoli, do obozu dla oficerów w Murnau w Bawarii. Kiedy 30 kwietnia 1945 roku Amerykanie wyzwolili ten olbrzymi obóz (7 tysięcy oficerów, głównie Polacy z kampanii wrześniowej), zorganizowali transport do Włoch i większość z nich została wcielona do II Korpusu gen. Andersa. Mój ojciec został mianowany zastępcą V Dywizji Kresowej i aż do ewakuacji do Wlk. Brytanii przebywał we Włoszech. Po przyjeździe do Anglii został kierownikiem wydziału w biurze historycznym.

Początkowo biuro mieściło się przy polskim dowództwie, a gdy dowództwo zostało rozwiązane, stało się jednostką samodzielną, a pracujący tam ludzie opłacani byli ze skarbu narodowego, czyli przez rząd londyński. Ojciec prowadził referat, który opracowywał historię udziału polskich sił zbrojnych w II wojnie światowej, a w szczególności opracowywał kampanię wrześniową. Praca „Polskie siły zbrojne w II wojnie światowej”, była wydana pod redakcją mojego ojca.

Ja ojca zobaczyłem dopiero w 1957 roku, rok przed jego śmiercią. Udało mi się wyjechać na zachód po październiku 1956 roku. Dostałem wówczas po raz pierwszy paszport i na dwa miesiące pojechałem do ojca do Anglii. Mogłem wtedy zostać, ojciec mi powiedział – ja cię nie namawiam do zostania, bo tam w Polsce ludzie są potrzebni, ale jeśli byś się kiedyś zdecydował, to ja ci tutaj pomogę.

JSG: I po tym pobycie u ojca w Anglii, pan się jednak zdecydował wrócić do Polski?

JL: Wtedy zdecydowałem się na powrót. Po październiku 1956 panowała taka euforia, wydawało się, że jednak da się coś w tej Polsce zrobić. Ojciec chciał wrócić do Polski, ale zdawał sobie sprawę z tego, czym to grozi. Było mu jednak ciężko. Ja i mój brat byliśmy w Polsce, nasza matka zmarła podczas Powstania Warszawskiego. Ale ojciec cały czas miał wyrzuty sumienia, że

nie wrócił do Polski. Gdy spotkaliśmy się na dworcu Victoria w Londynie, pierwsze o co zapytał to – czy uważasz, że dobrze zrobiłem? Ja na to – pewnie, przecież byś zrobił największe głupstwo jakie można zrobić, wiesz dobrze, co się stało z innymi. Płk. Białkowski mimo, że wyszedł żywy z więzienia, był w taki stanie, że na wolności żył tylko dwa miesiące, a płk. Minakowski, nasz sąsiad, który służył w lotnictwie i był ewakuowany na zachód, po powrocie został rozstrzelany. I wielu innych kolegów mojego ojca spotkało to samo.

JSG: Czy pana stryj, do którego pan przyjechał do Kalifornii, też był oficerem?

JL: Stryj był oficerem rezerwy artylerii konnej. Przed wojną pracował w Ministerstwie Przemysłu i Handlu. W sierpniu 1939 roku wyjechaliśmy ze stryjem pod Stanisławów, odwiedzić babcię, która miała tam majątek. Mimo, że trwały ostatnie przygotowania do wojny, ojciec powiedział stryjowi, że to może być ostatnia okazja, żeby zobaczyć matkę. Obiecał, że w razie gdyby już coś wiedział, przyśle telegram. Było wtedy pięknie, ciepło, wspaniałe lato. Wybieraliśmy się na wędrowkę w góry. Bardzo się cieszyłem, była to dla mnie, 10-letniego wówczas chłopca, wielka atrakcja. Nigdy wcześniej nie brałem udziału w takiej turystycznej eskapadzie. Wycieczka planowana była na niedzielę.

I akurat w tą niedzielę przyszedł telegram od mojego ojca - przyjeżdżaj natychmiast. Telegram był wysłany 26 rano, gdyż 25 Niemcy zdecydowali, że uderzą na Polskę, właśnie 26 o 5 rano. Wszystkie rozkazy były już wydane. I polski wywiad się o tym dowiedział. Jednak Hitler zdecydował się odwołać atak, gdyż o 5 po południu otrzymał trzy, bardzo niekorzystne dla niego wiadomości. Po pierwsze wywiad niemiecki doniósł, że trzy czwarte armii polskiej jest już zmobilizowanej. A Niemcy mieli zmobilizowanych dopiero połowę sił. Hitler myślał, że to wystarczy, bo polska mobilizacja będzie w lesie. Jednak mobilizacja polskiej armii, wbrew temu, co się powszechnie uważa, przebiegała bardzo sprawnie. Armia polska miała plan operacyjny, który pozwalał na zmobilizowanie trzech czwartych wszystkich sił polskich, przy pomocy tzw. mobilizacji kartkowej. Rezerwiści dostawali powołania imiennie przez pocztę. To było o tyle ważne, bo ogłaszanie mobilizacji powszechnej mogło być potraktowane tak jak wypowiedzenie wojny.

Natomiast mobilizacja kartkowa mogła być robiona w każdej chwili i bez żadnego ryzyka politycznego. To była olbrzymia praca, ale dzięki niej mobilizacja rozpoczęła się już w marcu i była przeprowadzana partiami, a od 1 sierpnia przebiegała już na dużą skalę. Oprócz tej wiadomości, Hitler otrzymał jeszcze inne złe wiadomości. Mussolini przysłał telegram, że Włochy na początku pozostaną neutralne, bo są nieprzygotowane do wojny. No i trzecia wiadomość, najgorsza, że 25 sierpnia został

podpisany sojusz polsko-angielski. Była to pierwsza bezwarunkowa gwarancja, której królestwo brytyjskie kiedykolwiek udzieliło.

Tak więc Hitler się zastanawiał, czy w ogóle uderzać. Przez 6 dni obserwował zachodnich aliantów, ale już po 4 dniach zdecydował na uderzenie i wydał nowy rozkaz. Zobaczył, że alianci, zamiast ostro przygotowywać się do wojny, próbują problem rozwiązać politycznie, nawet kosztem ustępstw strony polskiej.

JSG: Czyli po telegramie pana stryj przyjechał do Polski.

JL: Natychmiast wróciliśmy do Warszawy. Stryj zgłosił się do wojska i został z powrotem skierowany do Stanisławowa, bo tam stacjonował jego pułk artylerii konnej. Potem stryj był w Anglii, w tzw. I Korpusie, który się formował w Szkocji. Z tego korpusu została zabrana I Dywizja Pancerna, która poszła walczyć na kontynent, natomiast dwie dywizje piechoty, które były formowane, ale ich tworzenie nie zostało ukończone, nie poszły na front. Te siły zapasowe były najpierw w Szkocji, potem w Anglii. Dołączył do nich II Korpus, który wrócił z Włoch. Przyszedł z nim mój ojciec. Stryj mieszkał w Anglii jeszcze kilka lat. Jak ja przyjechałem w 1957 roku, to już stryja nie było. Wyjechał najpierw do Nowego Jorku, a potem z żoną i córką przenieśli się do Kalifornii. Tak więc po latach, ja tam dojechałem i spędziłem z nimi piękne chwile. Na swoją drugą

ojczyznę wybrałem jednak Kanadę i mieszkam tu do dziś.

Wywiad ukazał się w „Liście oceanicznym” dodatku kulturalnym „Gazety” pod redakcją Joanny Sokołowskiej-Gwizdka.

„Zwiąć za wszelką cenę” Jarosława Molendy: Dlaczego uciekali z PRL-u?

Barbara Lekarczyk-Cisek



Jarosław Molenda i jego publikacje, fot. Sławomir

Pasjonujące historie, skłaniające do refleksji nad meandrami ludzkiego losu, nie tylko w czasach PRL-u.

Książka **Jarosława Molendy**: „Zwiąć za wszelką cenę. Słynni uciekinierzy i emigranci z PRL” zawiera dziewięć biografii, z których każda jest właściwie materiałem na książkę. Historie bohaterów różnią się od siebie niekiedy diametralnie, inne są także ich motywy i losy w tzw. wolnym świecie. Autor przegląda uważnie rozmaite źródła, aby oddać możliwie najrzetelniej cechy ich osobowości, zrozumieć, dlaczego właśnie oni i w jakich okolicznościach dokonali wyboru, a wreszcie – jak potoczyły się potem ich losy. Nie zawsze udaje mu się to rozwikłać i bywa, że pozostajemy z uczuciem niedosytu, ale nie jest to przecież żadną wadą. Przeciwnie, staje się zachętą do przemyśleń.

Jarosław Molenda próbuje we wstępie dociekać, jakie są mechanizmy łączące te wszystkie ucieczki. Dochodzi jednak do wniosku, że osoby te nie łączy zgoła nic, tak są różne.

Ważniejsze są warunki duchowe pracy artystów przebywających poza ich macierzystym krajem – konkluduje autor – ale i tu nie istnieją reguły obowiązujące wszystkich emigrantów. Jedni giną

na wygnaniu, inni znajdują tam dobre warunki dla swojej pracy.

Potwierdzałby to casus **Marka Hłaski**, który na emigracji się nie odnalazł, w przeciwieństwie do **Jerzego Panufnika**, którego kariera rozkwitła, choć i on nie czuł się w nowych warunkach komfortowo.

Pierwszą uciekinierką, której pozostanie na Zachodzie odbiło się szerokim echem, była baletnica Mazowska - **Krystyna Bujnowska**. Stało się to podczas pobytu zespołu w Paryżu i wcale nie było takie łatwe, zważywszy, że młodzi artyści mieli zawsze opiekunów ze służby bezpieczeństwa. Krążyły nawet na ten temat przeróżne żarty, jak choćby ten o skrzypku, który marzył o zagranii na Stradivariusie i tłumaczył swemu „stróżowi”, że to przeżycie podobne do tego, gdyby pozwolono mu wystrzelić z rewolweru Dzierżyńskiego. Bujnowska szczęśliwie nie musiała nic tłumaczyć – po prostu nikt jej o to nie podejrzewał. Udzieliła też wywiadu dla Radia Wolna Europa, którego można dziś posłuchać bez zagłuszania i w którym wyraża radość z powodu nagłej sławy (jej fotografie ukazały się we francuskich gazetach) i w ogóle jest zachwycona.

Krystyna Bujnowska nie miała w Polsce żadnej rodziny, tym bardziej więc pragnęła połączyć się z mieszkającą w Stanach Zjednoczonych ciotką. Wyszła za mąż za Polaka i oboje podtrzymywali polskie tradycje, m.in. ucząc dzieci języka

polskiego. Niestety, autorowi książki nie udało się dotrzeć do rodziny, nie wiadomo więc, jakie były dalsze losy pierwszej uciekinierki. Wiadomo natomiast, że dzięki niej zrobił się medialny szum wokół zespołu Mazowsze i widzowie gęsto wypełnili widownię. Jak się nietrudno domyślić, nikt tego nie rozumiał i nie docenił, przeciwnie – dziewczyna została napiętnowana przez członków zespołu, nie wspominając już o komunistycznych władzach. Ale i tak nie była ostatnią, która odważyła się na taki krok, bo był to krok w stronę wolności.

Najbardziej tajemniczym uciekinierem na Zachód był – i nadal takim pozostał – **Józef Światło**, pułkownik UB, którego opowieści o zbrodniach reżimu, mimo że sam brał udział w zbrodniczym systemie, wpłynęły znacząco na bieg historii. Audycje radiowe, w których podawał wiele skrywanych dotąd faktów, przyczyniły się bowiem do zmian szeregach partyjnej elity (uwolniono m.in. Władysława Gomułkę i innych aresztowanych), ale przede



wszystkim - wypuszczono wreszcie polskich żołnierzy przetrzymywanych w ZSRR. Dlaczego Światło uciekł i zeznawał - nie wiadomo tego do dziś. Istnieją hipotezy, że był agentem Moskwy i został wysłany za Zachód po to, aby przyśpieszyć zmiany, które nastąpiły po śmierci Stalina. Nie wiadomo także, co działo się ze Światłą potem. Prawdopodobnie, podobnie jak Ryszard Kukliński, otrzymał nową tożsamość, zacierano wszelkie prowadzące do niego ślady i mylono tropy. Dopiero w 2008 roku IPN wystąpił do USA o odtajnienie dokumentów CIA, gdyż rozpoczęło się przeciwko Światłu postępowanie. Jak się bowiem okazało, przyczynił się on do aresztowania ok. 150 członków AK, których potem torturowano, zabijano lub wysłano do łagrów. Jednak w odpowiedzi uzyskano tylko lakoniczną informację, że Józef Światło zmarł 2 września 1994 roku w Stanach Zjednoczonych. Kolejne pisma pozostały bez odpowiedzi. Pozostaje mieć nadzieję, że zarówno w tej, jak i innych sprawach odpowiedzi należy szukać w archiwach NKWD...

Książka Jarosława Molendy o uciekinierach z PRL jest rzetelną, choć nie pierwszą publikacją na ten temat. Znajdziemy w niej - oprócz wspomnianych - także biografie Piotra i Mieczysława Ejsmontów, Stefana Korbońskiego, Władysława Kozakiewicza, Stanisława Mikołajczyka, Andrzeja Panufnika i Tadeusza Teodorowicza. Pasjonujące historie, skłaniające do refleksji nad meandrami ludzkiego losu, nie tylko w czasach PRL-u. Może

tylko tytuł publikacji niezbyt fortunny, bo zbyt pospolity i tabloidowy.

Jarosław Molenda: „Zwiąć za wszelką cenę. Słynni uciekinierzy i emigranci z PRL”, wyd. Bellona 2017 r.

Stefan Siwiński – projektant futurystyczny

Joanna Sokołowska-Gwizdka



Stefan Siwiński, lata 60.

Stefan Siwiński urodzony w 1918 roku we Wturku koło Kruszwicy, zmarły w 2009 roku w Toronto, jest jednym z pionierów nowoczesnego projektowania mebli, którzy do Kanady przyjechali z europejskim wykształceniem. Pasjonat i perfekcjonista w dążeniu do projektowania i wytwarzania wysokiej jakości współczesnych mebli, opanował wiele materiałów – drewno, metal, plastik. Jego monochromatyczne projekty rzeźbiarskie z lat 50. i 60. są godne uwagi ze względu

na łączenie materiałów przemysłowych z ręczną pracą artysty.

Stefan Siwiński po udziale w walce o wyzwolenie Europy spod okupacji hitlerowskiej i służbie w polskiej dywizji wchodzącej w skład armii kanadyjskiej oraz skończeniu studiów w Szkocji, wyemigrował do Argentyny, gdzie mieszkał przez 6 lat. W 1952 roku przeniósł się do Kanady, a już w dwa lata później jego warsztat w Toronto – *Korina Designs* zatrudniał dziesięciu rzemieślników. To małe studio stolarskie specjalizowało się w komercyjnych meblach, ale również przyjmowało zlecenia takie jak np. zrobienie w 1960 roku stołu dla współczesnego kanadyjskiego architekta Johna C. Parkina. Wówczas modernistyczni architekci tacy jak John C. Parkin oraz młody angielski architekt Peter Dickinson (w Toronto apartamenty Benvenuto Place i wieżowiec w Regent Park oraz wieża Banku CBC w Montrealu), poszukiwali projektantów mebli, którzy tworzyliby pasujące do ich wizji zewnętrznej wyposażenie wnętrza budynków. I tylko trzech torontończyków, w tym Stefan Siwiński umieścili projektowane przez siebie meble w znaczących nowoczesnych budynkach dekady lat 60. Projekty Stefana Siwińskiego wykorzystujące chromowaną prasowaną stal, harmonijnie dopasowywały się do międzynarodowego stylu współczesnych wnętrz.

Nowatorskim pomysłem było krzesło o trzech nogach, zaprojektowane w 1958 roku, ze stali, laminowanego drewna i

winyłu, w kolorach brązowo-czarnych. Krytyka nazwała je hybrydą łączącą skandynawski *modern* z obrazem *pop*. Przypominające człowieka-kreskówkę wygodne miejsce do siedzenia, kupione zostało w dużych ilościach do klubu dyrektorskiego w głównym biurze Union Carbide i przez szpital Blue Cross w Toronto. To rzeźbiarskie współczesne krzesło zostało przedstawione na 13. Międzynarodowym Triennale w 1964 roku w Mediolanie i zostało nagrodzone złotym medalem.

Kolejnym meblem, które zwróciło na siebie uwagę projektantów było krzesło wypoczynkowe, zaprojektowane w 1959 roku. *Lounge 100-1*, pięknie wyważone z wielką dbałością o detale, reprezentowało pewność projektanta, który znał swoje rzemiosło. Jego trafne i wprawne oko szczególnie widoczne było w piankowo-gumowo-winyłowym obiciu, które musiało być dopasowane do kształtu konstrukcji bez tworzenia widocznych szwów. Krzesło było ręcznie zszywane i poddawane działaniu ciepła. Uderzająco delikatna i cienka sylwetka krzesła ozdabiała wiele holi. Bardzo często *Lounge 100-1* było lokalnym zastępstwem *Barcelony* - klasycznego krzesła jednego z mistrzów bauhausu Ludwiga Mies van der Rohe, wystawionego po raz pierwszy w Pawilonie w Barcelonie w 1929 roku. *Lounge 100-1* przedstawione zostało w przewodniku Praegera z 1962 roku pt. „Nowe meble”. Dwa lata później Ramsey - rządowy architekt międzynarodowego lotniska w Toronto, zamówił je do lobby odlotów. Pracownicy *Korina Designs* wyprodukowali 500

krzesła w 10 tygodni. Było to dużym wyzwaniem, gdyż krzesła były ręcznie robione. Kontrakt ten prowadził do dalszych zamówień na krzesła z York University, Toronto Dominion Bank i Art Gallery of Ontario.



Plastikowe krzesło projektu Stefana Swińskiego.

Modernistyczne projekty Stefana Siwińskiego zdobywały coraz większe uznanie, uwagę mediów i podziw innych projektantów. Forma kuli stała się wówczas utopijnym symbolem postępu i zmiany. Od elektroniki rozprzestrzeniła się do wnętrz. Stąd zainteresowaniem cieszyły się plastikowe lampki-kulki projektu

Stefana Siwińskiego. Wielki podziw wzbudziło plastikowe, przezroczyste krzesło z 1965 roku, wykorzystujące formę kuli, lekkie, przypominające bąbelek. Reyner Banham porównując plastik z futrem nazwał go naszą drugą skórą. Stefan Siwiński w tym projekcie uchwycił sedno powiedzenia Banhama. Zmysłowy obraz przezroczystego plastycznego bąbelka-krzesła, uchwycony przez torontońskiego fotografa Wima Vanerkooya, sugeruje metaforę plastiku jako nagiej skóry. Lekkość obiektu nawiązuje natomiast do lotów w kosmos i braku przyciągania ziemskiego w przestrzeni kosmicznej. Krytycy twierdzili, że projekt Stefana Siwińskiego pokazał najwyższe wyrafinowanie rzeźbiarskie. Szkoda, że krzeseł tych zostało wyprodukowanych zaledwie 20 sztuk.

Plastikowe, matowe krzesło z 1965 roku zapoczątkowało eksperymenty z plastikiem, którego wynikiem była seria półkulistych krzeseł z włókna szklanego i plexiglasu. Miały one albo podest, albo podstawę typu rury. Podczas gdy takie projekty były typowe dla tego okresu, godne uwagi jest ich wykonanie. Stefan Siwiński kontrolował cały proces produkcji, od wyjścia materiału spod wypraski aż po pokrywanie i wybijanie. Mimo, że powstało mniej niż 50 takich krzeseł, to szeroko je fotografowano. Pojawiły się w takich pismach jak „The New York Times” w 1967. Niekończące się dążenie do ulepszania projektów, a nie standaryzowania produkcji sprawiały, że firma Stefana Siwińskiego była w ciągłym stanie finansowej

niestabilności, ale za to meble zdobyły uwagę mediów i uznanie innych projektantów.



Plastikowe krzesło projektu Stefana Swińskiego.

W latach 70. i 80. Siwiński projektował meble dla stacji metra w Toronto i dla międzynarodowych lotnisk w Calgary i w Toronto. W latach 90. powstała przepiękna, kolorowa kolekcja surrealistycznych foteli pod tytułem „Adam i Ewa w raju”. Jakże te marzycielskie formy różnią się od minimalistycznego stylu lat 60., kiedy „mniej, oznaczało więcej”.

Stefana Siwińskiego niezwykle podziwiał słynny kanadyjski malarz Harold Town (1924-1990), fundator i członek grupy malarzy abstrakcyjnych „Painters Eleven” (1953-60). Malarz uważał, że mimo zapału i talentu, była to też niezwykle trudna dziedzina dla projektanta.

Ciągły wzrost produkcji w epoce, w której żyjemy – napisał Harold Town – powoduje, że staliśmy się społeczeństwem wyrzucającym. Na skutek zaprogramowanej „koncepcji niepotrzebności” standardy wykończenia, nie tworzą obiektu trwałego. Na szczęście na świecie jest kilku upartych partyzantów z duchem kreatywności, którzy jedną ideą, jednym pomysłem próbują zwalczać nastawienie społeczeństwa do masowego i szybkiego wyrzucania. Wierzą oni, że projektowanie to nie tylko zewnętrzne dopasowanie przedmiotu do funkcji ciała, ale i wewnątrz obiektu powinno polegać na odpowiednim zespoleniu rozmaitych materiałów. Mebel nie będzie trwały jeśli klej, który spaja poszczególne elementy, szwy, które je trzymają, czy śruby, które łączą, nie są odpowiedniej siły, wagi i długości. Prawdziwe rzemiosło polega więc na połączeniu artyzmu z dokładnością wykonania, trwałością materiału i jest nieodłączną częścią wszystkich czynników, które stwarzają sztukę.

Stefan Siwiński jest właśnie takim artystą i rzemieślnikiem.

Jest rzeźbiarzem mebli, perfekcjonistą, nie akceptującym wszelkiego rodzaju „sztuczek”, ciągle odkrywającym, jak zaawansowany rozwój technologii, może być wykorzystany w materiałach stosowanych do produkcji projektowanych przez niego obiektów.

Dla Stefana Siwińskiego projektowanie i wykonywanie mebli w jego fabryce, pod jego nadzorem nie jest zawodem, karierą czy sposobem na to, żeby spokojnie przejść na emeryturę. To jest powołanie, to jest całe jego życie. Posiada on to, czego wymaga sztuka - fantastyczne pożądanie robienia najlepszego. Meble Stefana Siwińskiego zalicza się do najlepszych przykładów współczesnych mebli na świecie.



Meble projektu Stefana Siwińskiego na lotnisku Pearson w Toronto.

Meble Stefana Siwińskiego trafiły do Muzeum Sztuki Nowoczesnej w Nowym Jorku, a także do Muzeum Cywilizacji w Ottawie, jako stała kolekcja.

Projektant otrzymał wiele nagród, m.in. złoty medal na 13. Międzynarodowym Triennale w Mediolanie w 1964 roku, nagrodę Design Council of Canada podczas wystawy Expo 1967, nagrodę rządu Ontario za Krzesło Roku w 1967 roku. Podczas zjazdu projektantów przemysłowych w 2001 roku rząd Kanady wydał specjalny znaczek pocztowy, na którym zostało umieszczone trójnogie krzesło, nagrodzone w Mediolanie.

Stefan Siwiński brał też udział w wielu wystawach artystycznych indywidualnych i zbiorowych, m.in. w Art Gallery w Mississauga pt. „Adam i Ewa w raju” (wystawa indywidualna), w Art Gallery of Winnipeg pt. „Malarstwo abstrakcyjne i projektowanie w Kanadzie” (wystawa zbiorowa). W recenzji, która się ukazała po wystawie w Winnipegu w piśmie „Canadian Architect” napisano, że krzesło projektu Stefana Siwińskiego jest wyrazem epoki. Projekty Stefana Siwińskiego zostały pokazane na wystawie pt. „Made in Canada: Craft and Design in the Sixties” w Canadian Museum of Civilization w Ottawie (24 luty 2005 – 15 styczeń 2006).

Klienci Stefana Siwińskiego: Government of Canada, Toronto Int’l Airport, Calgary Int’l Airport, Canadian Embassy – Pakistan,

Int'l Postal Union - Berne, Switzerland, Canadian Embassy - Wellington, NZ, Government of Ontario, Art Gallery of Ontario, York University, MacMaster University, Blue Cross Hospital, Etobicoke General Hospital, Granite Club - Toronto, Union Carbide - Toronto, IBM - Toronto, Canadian Pulp & Paper Company, Toronto Dominion Bank, CIBC, Bank of Canada.

Na podstawie książki Rachel Gotlieb i Cory Golden pt. „Design in Canada since 1945: fifty years from teakettles to task chairs”, Toronto 2001 oraz artykułu Joanny Bojańczyk “Rzeźby do siedzenia”, Twój Styl, październik 1995 r.

Rozmowa ze Stefanem Siwińskim ukaze się w piątek, 28 kwietnia 2017 r.